odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Nr 5 (205) Cena 1 zł

Rok V. ŁÓDŹ, 4. II. 62 r.

Pani Zofia Kamińska z Biblioteki przy ul. Marynarskiej 9, nie tylko wypożycza książki, ale także organizuje imprezy kulturalne dla swoich czytelników. Niestety, nie wszędzie jeszcze to jest możliwe.

JERZY WILMAŃSKI

GDZIE MIEJSCE DLA BIBLIOTEK?

DLACZEGO JESTEŚMY NA KOŃCU

- Metody króla Ćwieczka
- Bibliotekarz i sprzątaczka
- Pusty pawilon
- Szczury w bibliotece
- Zaklęty pułap tysiąca złotych

Proponuję zejście na ziemię. Po absolutnie słusznych, prycypialnych, ale i dość ogólnikowych wypowiedziach wiceprzewodniczącego Rady Narodowej m. Łodzi prof. R. Kaczmarka oraz dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego A. Postołowa proponuję spojrzeć na sprawy kultury, a konkretnie — problem czytelnictwa z innej płaszczyzny. Choćby z płaszczyzny spękanej, przegniłej podłogi bibliotecznej. Powiedzmy przez rozbitą szybę bezużytecznego dotąd pawilonu przy ul. Środkowej. Może takie spojrzenie choć trochę pomoże w wyjaśnieniu nurtującego nas wszystkich problemu — dlaczego jesteśmy na końcu?

T. był szok. Opublikowane niedawno wyniki analizy sytuacji w bibliotekarstwie wywołały wiele rumieńców wstydu i wiele zażenowania. Oczywiście — wiedzieliśmy wszyscy, że z czytelnictwem nie jest w Łodzi najlepiej, wiedzieliśmy, że brak nam prawie 40 proc. bibliotek (jeśli wziąć za podstawę niezbyt nawet wygórowane wskaźniki ogólnopolskie — jedna biblioteka na 10 tys. mieszkańców), wiedzieliśmy, że legitymujemy się najniższą w Polsce ilością książek w bibliotekach na głowę jednego mieszkańca. (0.7).

A jednak to był szok. Nie wiedzieliśmy bowiem, że znajdujemy się w klasycznym ogonie, że wyprzedzą nas wszystkie mniej lub bardziej prowincjonalne ośrodki. Nie wiedzieliśmy, że będziemy ostatni.

Niestety, jesteśmy ostatni. Na tę smutną okoliczność składa się wiele, bardzo wiele przyczyn. Spróbujmy je uporządkować, spróbujmy odpowiedzieć na pytanie „dlaczego ostatni?".

Książka trafia do bibliotecznego magazynu, potem do działu opracowań. W Szczecinie na przykład już po upływie pięciu dni metryczka książki znajduje się w katalogu, a egzemplarz na półce wypożyczalni. W Łodzi... w najlepszym wypadku po trzech miesiącach, a bywa, że i po półtora roku. Oczywiste jest wobec tego, że czytelnik nie ma po co szukać nowości w Bibliotece Miejskiej czy w podległych jej (fatalne do dziś jeszcze) bibliotekach rejonowych. Czytelnik prawdopodobnie o tym wie i radzi sobie sam. Często w ten sposób, że nie czyta.

Wobec tej wybitnie nie sprzyjającej czytelnictwu sytuacji zajął stanowisko Komitet Łódzki Partii, który zaproponował Bibliotece Miejskiej przejście do nowych metod opracowywania książek. Nie ulega bowiem wątpliwości, że metody sprzed lat kilkudziesięciu, kiedy to i liczba czytelników i ilość tomów nie

Dokończenie na str. 5

ANDRZEJ OSTOJA

Z notatnika prokuratora

JEDEN Z GALERII NOŻOWNIKÓW

Był zimny, słotny, listopadowy wieczór. Jednostajne krople deszczu spływały po szybach. W małym pokoiku przy ul. Borsuczej w Łodzi Danuta W. zgasiła lampkę nocną, układając się do snu. Jej matka już spała. Kobieta spojrzała jeszcze w kąt pokoju, gdzie stało dziecięce łóżko siedmioletniej Elżbietki. Dziecko od paru dni gorzej się czuło. Może trzeba będzie wezwać lekarza? Matka jakiś czas czujnie nadsłuchiwała oddechu córeczki, ale po chwili odwróciła się na bok uspokojona — Elżbietka spała spokojnie, jej oddech był cichy i miarowy.

W tej chwili zaskrzypiały drzwi na dole, po czym na klatce schodowej rozległy się ciężkie kroki.

Kobieta uniosła się na pościeli. Spojrzała z trwogą w stronę drzwi. Ach, znała te kroki zbyt dobrze, aby się mogła pomylić.

Ktoś załomotał w drzwi. Raz, drugi, trzeci...

Matka Danuty obudziła się.

— Kto to? — pytała wyrwana z głębokiego, pierwszego snu.

— To on! — szepnęła Danuta. — Nie odzywajmy się! Łomotanie zabrzmiało powtórnie. Ktoś walił w drzwi butem.

— Boję się! — powtarzała kobieta — Boję się!

Drzwi chwiały się już w zawiasach i trzeszczały pod naporem ciała.

— Otworzę — powiedziała stara kobieta. — Drzwi wywali jak nic.

— Tylko jak trzeźwy! Tylko jak trzeźwy! — krzyknęła Danuta.

Matka otworzyła na odległość łańcucha. Bacznie spoglądała na mężczyznę stojącego na schodach, w nikłym świetle zakurzonej żarówki. Trwało to jakiś czas. Nie padło ani jedno słowo.

— Trzeźwy — oświadczyła Helena T., po czym spojrzała pytająco na córkę.

— To niech mama wpuści. — szepnęła Danuta W.

Wszedł. Rozejrzał się po pokoju. Był w czapce „oprychówce" i w zielonkawym płaszczu. Na rękach miał grube rękawiczki. Podszedł do tapczanu. Usiadł. Nie rozbierał się. Kobieta odsunęła się pod samą ścianę. Drżała z przerażenia.

Jakiś czas panowało ciężkie milczenie.

— Przebaczysz? — zapytał.

— Nie. Wszystko między nami skończone. Już ci mówiłam. Dosyć mojej krzywdy.

— Z trudem wydobywała z siebie urywane zdania. — Pamiętasz pierwszego maja? Chciałeś mnie udusić...

Milczał. Uśmiechał się krzywo. Bacznie obserwował swoje ręce w grubych rękawicach.

— Pierwszego maja?... Tak. Byłem wtedy głupi. Wielka szkoda, że nie skończyłem z tobą wtedy. Ale gdyby tak teraz? Patrz — tu wyciągnął w jej stronę ręce — mam rękawice. Nie byłoby śladu.

Kobieta wyskoczyła z łóżka. Jednym susem znalazła się w drzwiach. Obok matka. Stały teraz przy wyjściu. Boso. Tył-

Dalszy ciąg na str. 4

W świętą noc...

Wieś Wymysłówek żartobliwie nazywaliśmy naszą stolicą. Przez pewien czas mieszkałem w niej przed wojną, chłopi mnie znali, a co jeszcze ważniejsze lubili, była to więc nasza najpewniejsza „melina". Wymysłówek posiadał dla nas podwójne znaczenie: z jednej strony trudno o bardziej idealne miejsce do wypadów chociażby i na Radomsko, Wieś jest położona zaledwie o trzy kilometry od siedziby władz powiatowych, poza tym partyzantów chronił pobliski las, pozwalający bezpiecznie się wycofać; z drugiej strony las zapewniał nam niezbędny relaks.

W lesie nie można siedzieć bez końca. Latem jeszcze pół biedy, ale zimy były straszne mimo naszych ziemianek. A nadszedł właśnie grudzień roku 1944 i na odpoczynek zawitaliśmy właśnie do naszej zimowej stolicy. Nie wiem czemu to przypisać, ale Niemcy do tej wsi prawie nie zaglądali. Jak dotąd wyprawy pacyfikacyjne szczęśliwie omijały Wymysłówek, może zresztą dlatego, że hitlerowcom nie mieściło się w głowie, aby w odległości trzech kilometrów od radomszczańskiego gestapo mógł kwaterować cały sztab III Brygady AL im. gen. Bema.

21 grudnia nastrój w Wymysłówku był już prawie świąteczny. Partyzanci na kwaterach pili wznosząc toasty w nadziei, że będą to już ostatnie święta pod okupacją... Naraz od strony szosy usłyszeliśmy ryk motorów samochodowych i nim obejrzeliśmy się żandarmi wysypywali się z wozów w środku wsi. Było już za późno, żeby się wycofać, mogliśmy najwyżej podjąć nierówną walkę.

Stałem przy oknie, ukryty za firankami i obserwowałem poczynania żandar-

Dalszy ciąg na str. 6

Jest to opowieść Bolesława Hanicza Boruty, ppłk. rez., który w 1944 roku był dowódcą III Brygady AL im. gen. Bema, działającej w okręgu częstochowsko-radomszczańsko-piotrkowskim. Dziennikarz odegrał tu jedynie rolę magnetofonu, przekazującego wiernie relację Hanicza Boruty.

Bolesław Hanicz Boruta

JÓZEF SOBCZAK

Czy niesłusznie?

Upłynęło już sporo czasu od ukazania się 51-52 numeru „Odgłosów". Długo zastanawiałem się, jednak nie nad tym, co napisać, ale nad tym czy moja wypowiedź jest potrzebna, czy to nie będzie jakieś niesmaczne wybielanie się, tłumaczenie, przerzucanie winy na innych itp. Jednak zarzuty skierowane między innymi pod adresem Liceum Ogólnokształcącego w Łęczycy, a dokładniej pod adresem rady pedagogicznej tej szkoły, w artykule L. Włodkowskiego pt. „Uczniowie piszą anonim" są z jednej strony tak poważne, z drugiej zaś tak krzywdzące radę jako całość, iż należy chyba zabrać głos.

Treść artykułu p. L. Włodkowskiego wywołała niewątpliwie żywą reakcję nie tylko rzeszy nauczycielskiej, ale szerszego kręgu społeczeństwa, prawdopodobnie sama redakcja „Odgłosów" nie spodziewała się, że aż tak szerokiego. Chciałbym tu marginesowo tylko podać, że zwolniona z dniem 30 listopada 1961 roku sprzątaczka Liceum Ogólnokształcącego w Łęczycy z wyżej wymienionym numerem „Odgłosów" pojechała do Kuratorium Okr. Szkoln. Łódzkiego w Łodzi, podsuwając go skwapliwie do oczu, wizytatora szkolnego w obawie, że jeszcze nie zdążył się z nim zapoznać.

Proszę nie obawiać się, Szanowni Czytelnicy, nie zamierzam tu ronić łez ani lamentować nad „zastraszającym" stanem wychowawczym w naszych szkołach, ani też nad tendencyjnie napisanym artykułem p. Włodkowskiego. Trzeba jednak, by czytelnicy „Odgłosów" poznali wreszcie prawdę dotyczącą sprawy usunięcia czterech uczniów ze szkoły i „poupychania" ich w innych równorzędnych szkołach.

Jeśli istotnie tak surowa kara spotkała biednych, prześladowanych uczniów za „wejście" do gabinetu dyrektora, to jest tu coś niedobrze. Autor artykułu, a z nim wszyscy czytelnicy mają prawo słusznie oburzać się na „niesprawiedliwy" wyrok rady pedagogicznej. Doprawdy, trudno uwierzyć, że jeszcze dziś mogą w Polsce takie rady, w dodatku jeszcze w szkołach średnich, które za tak (pisząc bez żadnej złośliwości) nieszkodliwy, nie pierwszy raz w szkołach popełniony wyczyn wydalają uczniów ze szkoły.

Przyznam się szczerze, że gdybym nie znał tej sprawy jako bezpośredni jej świadek, zająłbym stanowisko niż rada sam jako nauczyciel inne pedagogiczna Liceum Ogólnokształcącego w Łęczycy. Od wielu lat walczymy z odsiewem w szkołach. Odejście nawet jednego ucznia ze szkoły zapisać należy na konto jej niepowodzeń, usunięcie czterech uczniów (w dodatku z klasy jedenastej) to wielki cios dla szkoły. Z tego faktu doskonale zdawała gogiczna Lic. Ogólnokszt. w sobie sprawę cała rada pedaŁęczycy, ale niestety, decyzję o przeniesieniu uczniów do innych liceum musiała podjąć. Decyzja ta została z kolei zatwierdzona przez Kuratorium Okręgu Szkolnictwa Łódzkiego w Łodzi i uczniowie ci musieli opuścić szkołę, choć rodzice ich, a trzeba przyznać i niewielka część grona pedagogicznego, zorganizowali „wojnę świętą" przeciw rabo liczba ich wykroczeń była dzie, musieli opuścić szkołę, tak wielka, że ze względu na dobro innych uczniów tolerowanie tego musiało się skończyć.

Oto posłuchajmy faktów, będę bardzo się streszczał: Już od pierwszych dni nowego roku szkolnego 1960/61 dają się słyszeć narzekania na uczniów klasy Xa, „Uczniowie nic nie spoważnieli, zachowują się jeszcze gorzej niż w klasie dziewiątej", „Klasa Xa nie uczy się, nie odrabia pracy domowej". „Dziś, panie dyrektorze, uczniowie kl. Xa nie tylko nie przeczytali dawno podanej im lektury, ale jeszcze w dodatku ordynarnie zachowali się". „Frekwencja w klasie Xa coraz gorsza, na pierwszej lekcji nie było ośmiu uczniów, na drugiej dziesięciu", „znów X uciekł z lekcji, w dodatku bardzo nieodpowiednia atmosfera pracy w klasie" — oto część tylko uwag nauczycieli uczących w tej klasie. Ja również uczyłem tę młodzież i moje osobiste spostrzeżenia całkowicie pokrywały się, z uwagami kolegów. Często rozmawiałem z uczniami tej klasy, wskazując, że konsekwencje ich postępowania mogą być bardzo smutne. Wychowawca uspokajał dyrektora i radę pedagogiczną, że klasa poprawi się i będzie dobrze. Niestety, do świadomości uczniów nie trafiały żadne argumenty, nie odstraszały ich żadne kary ani nagany, obniżenie ocen ze sprawowania, nie reagowali na perswazję, na wzywanie rodziców. Oto przed półroczem uczniowie kl. Xa wymazują w dzienniku lekcyjnym oceny niedostateczne, a na ich miejsce stawiają dostateczne i dobre. Przestępstwo zostało wykryte. Rada pedagogiczna postanawia nie zawieszać jeszcze uczniów, którzy przyznali się do winy, w dalszym ciągu wierząc słowom wychowawcy tej klasy, że nastąpi poprawa. Rzeczywiście następuje, oto kilka dni po półroczu ginie dziennik klasowy. Winowajcy znaleźć nie można. Uczniowie tej klasy stają się tak bezczelni, że twierdzą, iż dziennik został zniszczony przez nauczyciela, nie podają tylko — którego.

Rodzice uczniów wychowują swe dzieci w ten sposób, że za przewinienia ich obwiniają nauczycieli, starają się stopnie dostateczne wymusić, rozszerzając niedorzeczne lub oszczercze opinie o szkole w rodzaju tej, że dziennik został zniszczony przez nauczyciela.

Rada pedagogiczna jest po prostu zdruzgotana, nie widzi w tej sytuacji innego wyjścia, jak rozwiązać klasę i zarządzić powtórne przyjęcie na podstawie egzaminów wstępnych, ponieważ stanowisko takie nie jest jednomyślne w radzie, zastępczyni dyrektora, który od dłuższego czasu przebywał w szpitalu, poprosiła o pomoc władze kuratoryjne. Przyjechał wizytator i ostatecznie postanowiono nie rozwiązywać klasy. Pan wizytator w długiej i wielką troską o los młodzieży nacechowanej rozmowie z trudną klasą omówił rozmiary przestępstw. W końcowych słowach tej rozmowy uczniowie usłyszeli: „Nie rozwiązujemy klasy, jeszcze raz darujemy wam, ale pamiętajcie, żaden uczeń tej klasy nie może do końca roku szkolnego popełnić najmniejszego przestępstwa, za najdrobniejsze wykroczenia, jak ucieczka z lekcji, niestosowne zachowanie się wobec nauczyciela, uczeń tej klasy może zostać usunięty ze szkoły, choćby nikt w klasie nie został".

W klasie i całej szkole nastąpił spokój, ale nie na długo. Uczeń kl. Xa Lech Pawlak ucieka z lekcji chemii. Rada pedagogiczna, zdaje się jednomyślnie, podejmuje decyzję przeniesienia go do innej szkoły. Zostaje przeniesiony do Poddębic.

Znów krótkotrwała cisza i oto dwaj uczniowie, którzy zostali później przeniesieni, spóźniają się celowo na lekcje, oto uczeń Pawłowski (także później przeniesiony) zachowuje się ordynarnie na lekcji w stosunku do nauczycielki języka polskiego, jednak na wniosek dyrektora uczniowie ci zostają jeszcze w szkole. Koniec roku przyniósł nową przestępczą imprezę — włamanie się do gabinetu dyrektora i zamianę zeszytów klasowych.

Usunięto czterech uczniów, z tych jeden w październiku ubiegłego roku wrócił do szkoły. Obecnie z klasą XIa nie mamy żadnych trudności wychowawczych, klasa uczy się, jest dobra atmosfera pracy, uczniowie i nauczyciele są zadowoleni. Przenosząc czterech uczniów, tracąc ich dla szkoły, uratowaliśmy resztę klasy, przywróciliśmy karność w całej szkole.

Przeniesionych uczniów nie spotkało żadne nieszczęście, uczą się i zachowują się dobrze, ukarani zostali raczej ich rodzice.

Kar dla uczniów nie wymyśliła rada pedagogiczna Liceum Ogólnokszt. w Łęczycy, stosuje się je nie tylko w tej szkole. Zawieszenie ucznia czy przeniesienie do innej szkoły — to kary, które znajdują się w rejestrze zaakceptowanym przez Ministerstwo Oświaty i czy to p. Włodkowskiemu podoba się, czy nie, rady pedagogiczne będą je stosować, jeśli uznają to za konieczne.

Nie zapominajmy o wychowawczej roli kar.

Czuję się w obowiązku wyjaśnić użyty przeze mnie zwrot „w tendencyjnie napisanym artykule p. Włodkowskiego". Pan Włodkowski był w Liceum Ogólnokształcącym w Łęczycy, gdzie na pewno został dokładnie zapoznany z całym szeregiem przestępstw uczniów, o których w niniejszym artykule piszę, jeśli jednak świadomie pominął je, to dowód, że artykuł jego jest rzeczywiście napisany tendencyjnie.

Jeszcze jedno wyjaśnienie. Ograniczając się w swej wypowiedzi do jednego tylko zagadnienia, zdaję sobie jednocześnie sprawę, że wiąże się ono z całym wachlarzem ważnych problemów wychowawczych. Na przykład ciekawy byłby problem, dlaczego spośród dziesięciu oddziałów klas licealnych, jedynie z młodzieżą tej jednej klasy mieliśmy tyle tak poważnych trudności wychowawczych.

Nie o to mi jednak chodziło. Przedstawiając w skrócie rejestr wykroczeń i przestępstw uczniów kl. Xa, wśród których czterej usunięci odgrywali zawsze czołową rolę, pragnąłem uzasadnić, iż decyzja rady pedagogicznej, chociaż niejednomyślna, była słuszna i sprawiedliwa.

ROZMOWA ODGŁOSÓW z...

doc. dr BENEDYKTYNEM HALICZEM

kier. Katedry Ewolucjonizmu U.Ł.

o:

- **osiągnięciach „łódzkiej" biologii**
- **magii ultradźwięków**
- **anty-darwinizmie socjalnym**
- **jedności świata**

— Nazwa prowadzonej przez Pana Profesora Katedry jest tak atrakcyjna, że może właśnie od niej zaczniemy rozmowę?

— Intryguje Panią słowo „ewolucjonizm"? Jest to nauka zajmująca się problemami ewolucji tj. przemian, jakim podlega świat organiczny na przestrzeni swojego istnienia.

— Czy tymi właśnie problemami zajmuje się Katedra?

— Tak, problemami z tej właśnie dziedziny. Praca na co dzień w badaniach biologicznych, to odkrywanie faktów, które prowadzą do dalszych syntez osiąganych poprzez różne nauki, nie tylko biologiczne.

— Czym więc konkretnie zajmuje się Katedra w swych badaniach?

— Katedra Ewolucjonizmu Uniwersytetu Łódzkiego istnieje od kilku lat. Ona też przejęła częściowo problematykę prowadzonego przeze mnie Zakładu Biologii. Zajmujemy się więc badaniem wpływu ultradźwięków na rozwój roślin, biologią, ekologią i rozmieszczeniem porostów, prowadzimy też prace doświadczalne w ogrodzie, który mamy na Rogach.

— Wstydzę się, ale słowo „ultradźwięki" skojarzyło mi się z moją pralką elektryczną. Bardzo przepraszam za moją tak bardzo ograniczoną wyobraźnię...

— Proszę się nie tłumaczyć. Ultradźwięki mają przecież szerokie zastosowanie w przemyśle, w technice w ogóle, a także medycynie i innych dziedzinach naszego, codziennego życia. Są one niesłyszalne dla ucha ale ich wpływ na świat organiczny jest bardzo duży. Powstają przy dużej częstotliwości drgań dochodzących do kilkunastu tysięcy na sekundę, i wywołują, choć ich nie słychać, skutki w polu tych drgań.

— W jaki sposób wykorzystuje się w pracach Katedry te właśnie właściwości ultradźwięków?

— Działaniom ultradźwięków poddajemy nasiona i kontrolujemy dalszy rozwój tych roślin pod ich wpływem. Obserwujemy jak przebiega w tym procesie stymulacja, tj. przyspieszenie wzrostu roślin, zwłaszcza w pierwszym jego okresie. Jak dotychczas jednak całe zagadnienie wpływu ultradźwięków na rośliny jest z punktu widzenia nauki jeszcze w powijakach.

— A jakie są skutki ich wpływu na organizmy zwierzęce?

— Jesteśmy botanikami, dlatego prowadzimy badania w zakresie świata roślinnego. Ale ultradźwięki oddziaływują i na świat zwierzęcy, podobnie jak na każdą żywą komórkę. Ultradźwiękami można też zniszczyć żywe komórki.

Następnym problemem, jakim zajmuje się Katedra w swych badaniach naukowych, są zagadnienia porostowe. Porosty, o których mowa, są to rośliny będące ciekawym kompleksem dwóch organizmów: glonu i grzyba. Rosną na kamieniach, na drzewach i na ziemi. W miastach jest ich bardzo mało. Prowadzimy m. in. prace badawcze na temat występowania porostów w sadach, w Górach Świętokrzyskich oraz w Łodzi. Porosty bowiem mogą być wskaźnikiem czystości powietrza lub jego zanieczyszczeń.

— Jak więc określają porosty naszą Łódź?

— Łódź jest zadymiona, dlatego porostów jest tu mało, mniej niż w innych miastach. W centrum nie ma ich zupełnie. Na stan ten wpływa nie tylko zanieczyszczenie powietrza, ale i zupełny brak wody. Dla porostów Łódź to prawdziwa pustynia...

— Jakie jeszcze z tych badań można wyciągnąć praktyczne wnioski?

— Nie analizujemy problemu od tej właśnie strony.

— Ale przecież każda nauka pełni funkcje użytkowe?

— Tak. Porosty zawierają substancje, które są czynnikiem antywirusowym. Niektóre też z nich utrwalają zapachy i np. swojego czasu do tych, którzy finansowali badania nad porostami należał m. in. i sam Coty, właściciel znanej francuskiej firmy kosmetycznej. U nas kosmetyka nie interesuje się porostami, natomiast badania nad nimi wykorzystuje się do walki z wirusami chorobotworczymi. Jest to jednak zagadnienie innnej już specjalności.

— To wszystko jest bardzo interesujące. Niemniej — jest to wciąż tylko botanika. Specjalnością zaś Katedry jest ewolucja, a więc rozwój w skali wiekowej, wieloletniej...

— To się ściśle łączy. Dzisiejszy ewolucjonizm szuka problemów bardziej szczegółowych. Stara się przez te badania zebrać fakty dotyczące rozwoju organizmów. A przecież rozwój organizmu osobniczy, indywidualny jest częścią ewolucji świata organicznego. Mówimy więc stale o roślinach, ale to wszystko odnosi się do każdego organizmu żywego. Np. wpływ roślin jednych na drugie jest zagadnieniem walki o byt, która jest ważnym czynnikiem w badaniach ewolucjonistycznych. Jedna roślina może uniemożliwić drugiej życie przez zakwaszenie podłoża, lub zaciemnienie.

— Czyżby rośliny były podobne do ludzi?...

— Zagadnienie walki o byt dotyczy w zasadzie stosunków w przyrodzie a nie w społeczeństwie ludzkim, w którym te stosunki układają się w kategoriach rozwoju społecznego. Nie wolno nam więc popadać w błędne ujęcia darwinizmu socjalnego.

— Tym razem weszliśmy w dziedziny światopoglądowe...

— I słusznie. Kształtowanie światopoglądu naukowego, to przecież jedno z naszych ważnych zadań. Tak jak każda nauka biologiczna, ewolucjonizm poprzez poznawanie prawidłowości rozwoju przyrody przyczynia się do właściwego naszego spojrzenia na przyrodę bez przesądu i różnego rodzaju wierzeń demonologicznych. Staramy się też na co dzień popularyzować w różnych formach wiedzę o świecie. Ja sam ogłosiłem kilka prac, jak np. „Z dziedziny myśli ewolucyjnej", „O rozwoju świata roślinnego", jestem też przewodniczącym Łódzkiego Oddziału Towarzystwa im. Kopernika, którego jednym z naczelnych zadań jest popularyzacja wiedzy. Poza tym wygłaszam prelekcje i odczyty z tej dziedziny...

— A w dziedzinie dydaktyki... Jakie są zadania Katedry?

— Prace magisterskie, otwart jeden przewód doktorski... Prowadzimy też wykłady z biologii dla pedagogów, którzy przecież powinni znać podstawowe zagadnienia biologiczne. Np. zagadnienia dziedziczności, zmienności organizmów i inne czynniki ewolucji.

— Tym razem przedmiotem zainteresowania jest więc człowiek?

— Zawsze nim jest. Poznajemy człowieka badając niekoniecznie tylko człowieka, ale przez poznawanie procesów życiowych innych organizmów dochodzimy do pewnych uogólnień ważnych dla ludzi.

Nie zapominajmy bowiem że cały świat organiczny to przecież jedność.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PRAWDA NIKOMU NIE SZKODZI

Polemika jest sztuką trudną. Można ją uprawiać przy pomocy insynuacji, imputowania autorowi poglądów spreparowanych na podstawie wyrwanych z kontekstu zdań można do tych zdań dopisywać jeszcze pseudozłośliwości i streszczenia okolicznościowych referatów i można też polemizować z tezami, co zazwyczaj wychodzi dyskusji na dobre. Ten ostatni sposób polemiki wybrał drukowany powyżej — pan Józef Sobczak. Uznał on, że mój pogląd na możliwości wychowawcze Liceum Ogólnokształcącego w Łęczycy nie odpowiada całkowicie prawdzie i postanowił zapoznać cierpliwego Czytelnika „Odgłosów" z całą prawdą. Mam jednak poważne zastrzeżenia, co do tej prawdy. Uważam bowiem, że p. Sobczak zbyt jednostronnie przedstawia przyczyny trudności wychowawczych Liceum Ogólnokształcącego w Łęczycy i dlatego pozwolę sobie przypomnieć Czytelnikowi swój pogląd na te sprawy.

W artykule pt. „Uczniowie piszą anonim" napisałem, że „...szkoła w Łęczycy nie jest zdolna do podjęcia poważniejszego wysiłku wychowawczego, ...dlatego, że trawi ją groźna choroba". Wewnętrzne skłócenie rady pedagogicznej uznałem za przyczynę pomijania istotnej pracy wychowawczej i zastępowania jej systemem środków formalnego oddziaływania. Mój polemista uważa jednak, że przyczyny trudności leżą w samej młodzieży i w stosunku rodziców do szkoły. Oczywiście tego czynnika nie można pomijać, ale tym niemniej sam autor polemiki przyznaje, że nie wszystko w łęczyckiej szkole było w porządku. Pisze przecież, że rada pedagogiczna była „zdruzgotana", „nie widziała inego wyjścia, jak rozwiązać klasę", zwracała się o pomoc do Kuratorium, a w konsekwencji wybuchła „święta wojna". Toczyli ją ze szkołą niektórzy rodzice i część rady pedagogicznej. Jestem więc wewnętrznie przekonany, że obaj zgadzamy się co do niektórych przyczyn wywołujących niemożność pozytywnego oddziaływania rady pedagogicznej w łęczyckim liceum. Rozumiem p. Sobczaka kiedy ten starając się usprawiedliwić radę pedagogiczną przerzuca ciężar z bardziej istotnych przyczyn na mniej istotne. Mieć w zespole dwie ambitne i autokratyczne istoty, usiłujące przede wszystkim walczyć ze sobą, a dopiero potem uczyć i wychowywać, to na pewno sprawa niełatwa i na pewno

Dalszy ciąg na str. 6

Karnawałowy pojedynek

Karnawałowe szaleństwo trwa. Bale następują po balach. Błyszczą toalety, fryzury i sztuczna czeska biżuteria. W wytwornych salach rozbrzmiewają dźwięki muzyki. Orkiestra gra oczywiście twista. Bo dziś tańczy się tylko twista. W Łodzi i Paryżu, Brukseli i Nowym Jorku.

Nawet w Bejrucie tańczą twista, ale po kryjomu albowiem władze uznały ten taniec za niemoralny. W innych zaś krajach arabskich uważa się, że twist oznacza daleko posuniętą emancypację kobiety, gdyż może ona tańczyć bez pomocy partnera. Na temat twista wypowiedzieli się już także przedstawiciele medycyny. Zdaniem psychiatry — twist daje pełny relaks umysłowy. Gastrolog podkreśla iż twist ułatwia trawienie, ale nie należy go zalecać chorym cierpiącym na owrzodzenie żołądka. Niekoronowanym królem i twórcą twista jest Amerykanin Chubby Checker. Złośliwi twierdzą, iż Checker wpadł na pomysł nowego tańca, obserwując poruszanie się stada gęsi. Checker gra obecnie w filmie „Twist around the clock".

W Ameryce kręci się również i inny film w rytmie twista. „Pan Hobbs bierze urlop". W filmie tym sam czcigodny James Stewart („Anatomia morderstwa") tańczy twista. We Francji książe twista Johnny Hallyday debiutuje w szrankach X-tej muzy w filmie „Paryżanki". Jednym słowem twist opanowuje ekran wypierając zeń rock'n rolla. Chociażby i z tego względu uznać należy świeże dzieło naszej rodzinnej kinematografii „Zuzanna i chłopcy" co najmniej za anachronizm. W dzisiejszych czasach żaden postępowy obywatel nie tańczy już rock'n rolla. Nawet Elvis Presley, — który w swoich ostatnich filmach lansuje powolne bluesy. Histeryczne miotanie się po parkiecie i po estradzie wyszło już niestety z mody. Trzeba przerzucić się na nowy styl — stwierdza z melancholią król rocka i bożyszcze amerykańskich piętnastolatek. Elvis coraz wyraźniej wiąże się z tradycyjnym nurtem amerykańskiej piosenki reprezentowanym z takim powodzeniem przez Sinatrę lub Binga Crosby.

Tak więc obecny karnawał staje się areną pasjonującego pojedynku: twist — rock.

„Johny, mów nam otwarcie" — wołają piękne partnerki księcia twista... Johny Hollydaya

Być może wkrótce rock stanie się cząstką historii i tylko na ekranie będzie można podziwiać ekwilibrystykę tego zagorzałych zwolenników Rock'n-roll utrwalony został zwłaszcza w filmach amerykańskich. Manifestem ideowym rocka był film „Rock around the clock". Potem triumfował Elvis Presley w „Rycerzu zmierzchu", „Cafe Europa w mundurze" i „Dzikiej miłości". Pat Boone śpiewał w „Bernardine" Toma Sands w „Śpiewającym bóstwie", Paul Anka w „Prywatnym życiu Adama i Ewy" itd. Rewią czołowych gwiazd rocka był film „Rock, rock, rock". We Francji B. B. tańczyła wściekle rocka w „Prawdzie". Także i „Oszuści" Carne dają przegląd wybitnych osiągnięć choreograficznych na tym polu.

W Anglii rock był głównym atutem filmów o tzw. beat generation czyli „Niebezpiecznych lat" i „Beat girl". Wszystko to już jednak należy do historii. Dziś mówić można jedynie o twiście albo o tangu. Albowiem Guy Beart lansuje tango, które wśród przedstawicieli rasy łacińskiej ma mnóstwo zwolenników. Liryczne, czułe, wymarzone dla zakochanych. Apostołowie kompromisu mówią nawet o twist-tango. Być może ten nowy taniec pogodzi zwaśnione strony. Francuskie czasopismo „Cinemonde" przeprowadziło nawet specjalną ankietę dotyczącą wszystkich trzech tańców. Zwycięzcą okazał się jednak twist, który o małe taneczne pas wyprzedził tango. Natomiast rock pozostawał grubo w tyle. Uczestnicy ankiety orzekli, że twist jest szalenie łatwy i nie wymaga specjalnych lekcji, że stanowi doskonałą metodę przyjemnej kuracji odchudzającej, że się go przyjemnie ogląda no i wreszcie, że jest bardzo „sexy". Jak z tego wynika gwiazdy filmowe wybrały twista.

A zatem możemy czytelnikom „Mieszanki filmowej" z czystym sumieniem zalecić ten taniec. Wesołej zabawy!

M. K.

Roland Petit i Zizi Jeanmaire w upojnym tangu
Fot. L. Wdowiński

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

EWA SULIBORSKA

V FFF

Bunuel, de Sica, Brando i Latuada

Można już w tej chwili, choć V FFF wciąż trwa, twierdzić, że „Vidiana" Luis Bunuela jest najlepszym filmem prezentowanym na tegorocznym Festiwalu. Wprawdzie wykluczono z programu dwa filmy, o których szczególnie dużo mówiło się na Zachodzie, a ostatnio i u nas „Noc" Michelangelo Antoniniego i „Zeszłego roku w Marienbadzie" Alain Resnais, nie sądzę jednak by pokazanie tych bez wątpienia wybitnych dzieł zmieniło w jakiś decydujący sposób opinię o „Viridianie". Ten okrutny, wyjątkowo drapieżny film wywiera ogromne wrażenie. Został nakręcony w konwencji realizmu, którego nie zawahałabym się nazwać „krwawym", mimo, że jednocześnie operuje on dość skomplikowaną metaforą i symboliką. Nie wydaje mi się, aby odczytanie „Viridiany" jako filmu „polemizującego z fanatyzmem i dewotyzmem religijnym, z postawą oderwania od życia" (Aleksander Nieśmiałek „V FFF rozpoczęty",) było odczytaniem właściwym. I myślę, że jest wiele zasadniczych nieporozumień w rozpatrywaniu tego filmu pod kątem zarówno polemiki jak i ataku na ideały chrześcijańsko-katolickie.

Bunuel zderza wprawdzie pełen pokory, poświęceń i czystej miłości świat Viridiany i jej chrześcijańskich ideałów ze światem „zwykłych" ludzi, ale zderzenie to służy zupełnie innym celom. Bunuel daje w ten sposób możliwie pełny obraz człowieka, jego spraw i dążeń. Wyposażeni zarówno we wszystkie przypadłości ciała jak i we wszystkie przypadłości ducha bohaterowie jego filmu tworzą wstrząsający obraz świata. Ślepiec i trędowaty, psychopatyczny arystokrata, człowiek bez nogi i odrażający starzec, kobiety z wystającymi brzuchami i opadłymi piersiami stanowią ludzką społeczność, dyktują prawa rządzące światem. Bunuel z precyzją chirurga odsłania wszystkie wady i słabości, całą podłość i małość, całe okrucieństwo człowieka. Pośród ludzi — żądza, chęć zysku i walka o prawo do istnienia decydują o życiu, w świecie. Tu, gdzie nawet dzieci nie są wolne od okrucieństwa i głupoty nie ma miejsca dla Viridiany.

Jest ona uosobieniem ideałów. Jest czysta, dobra i piękna. Ale czystość, dobro i piękno muszą być przez ludzi zniszczone. Viridiana zostaje więc upodlona, zepchnięta na pozycje, w których może już grać ze swoim kuzynem w wista. Wydaje mi się, że ta pasja z jaką Bunuel obnaża człowieka, ten gwałtowny proces przeciwko światu świadczy o czymś zupełnie przeciwnym niż to sugerują niektórzy krytycy. W świecie, w którym żyjemy nie ma miejsca dla ideałów, ale to miejsce powinno się znaleźć — stwierdza twórca. „Viridiana" to z pewnością film, który o ideały w jakiś sposób walczy. Intelektualna wartość filmu Bunuela nie wyczerpuje wszystkich walorów tego świetnego dzieła. Nie mamy miejsca niestety na szersze jego omawianie. Możemy tylko poinformować Czytelników, że nie został on niestety zakupiony i w ciągu roku nie można go będzie obejrzeć na polskich ekranach. Warto jednak zapamiętać jego tytuł i twórcę. Sądzę, że nieraz jeszcze przyjdzie o tym filmie mówić.

„La Ciociara" film o którym mówiło się wiele zarówno ze względu na to, że jest on ekranizacją słynnej powieści Moravii, jak i nagrodę Festiwalu w Cannes jaką uzyskała Sophia Loren kreująca rolę matki — rozczarowuje. Posiadając wszystkie wady adaptacji filmowej wydał mi się dziełem dość przeciętnym. Odarty zarówno z moralizatorsko-filozoficznej wymowy prozy Moravii, jak i z rozmachu epopei na jaką powieść była zakrojona, jest rzeczą dość banalną i banalnie opowiedzianą historią dwóch kobiet, które wojna skazuje na tułaczkę, straty moralne i materialne. Brutalnie zrobiona scena gwałtu trzynastoletniej dziewczynki, której zamarła z przerażenia twarz pozostaje przez chwilę na ekranie ma z pewnością mocną wymowę. Nie sądzę jednak by „Matka i córka" de Sici była przykładem dobrego filmu antywojennego. Sophia Loren prezentuje w „La Ciociara" istotnie duży talent aktorski. Stworzyła w nim piękną postać włoskiej kobiety obdarzonej ogromnym temperamentem, czułością i dobrocią. Sophię Loren porównywano po tej roli do Anny Magnani i nie ma w tym porównaniu zbyt wiele przesady.

Także i pozostałe role obsadził de Sica bardzo starannie. Rosettę gra Eleonora Brown, Giovanniego Raf Vallone, a Michela — słynny Balmondo, pierwszy amant francuskiego filmu, aktor bardzo ciekawy, operujący dyskretnymi środkami wyrazu.

Filmem, który miał kolosalne powodzenie na Festiwalu był pokazany po „Dziś w nocy umrze miasto" Rybkowskiego western amerykański „Dwa oblicza zemsty" w reżyserii Marlona Brando, w którym obok słynnego gwiazdora wystąpiła Pina Pellicer, niewątpliwie rewelacja tego niezbyt ambitnego dzieła. Western bardzo podobał się publiczności, żywo oklaskującej co dramatyczniejsze momenty, mniej recenzentom warszawskich gazet. Jest to film zrobiony na zasadzie „Dla każego coś miłego"; oprócz niewątpliwych zalet — urocza dziewczyna, piękne plenery, częste dobywanie coltów ma on też niewątpliwie wady. Dostarcza jednak wszystkich przyjemności dobrej zabawy i trudno oceniać go pod kątem tak zwanej „wartości".

Pokazany jako trzeci z kolei film polski „Odwiedziny prezydenta" Batorego poprzedził „Uprowadzenie" Alberto Latuady. Film, który (pomysł scenariusza oparty został na słynnym porwaniu małego Pougeota), nagrodzony był w San Sebastian za najlepszą reżyserię. Zrobiono go według zasad stylistyki obowiązującej w filmach kryminalnych. Autorzy starannie i precyzyjnie pokazują przygotowanie do porwania dziecka, jego przebieg i następstwa. Nieco zaskakującym jest tylko finał tego niewątpliwie bardzo dobrze zrobionego filmu, w którym do głosu dochodzi Latuada — moralista. „Uprowadzenie" zostało świetnie zagrane (Anouk Aimae, Tomas Millian, Valerie) ładnie sfotografowane i posiada wszystkie walory gatunku, który prezentuje. Zresztą nasi Czytelnicy sami te walory będą mogli ocenić, film został podobno zakupiony.

Na ekranie kina „Skarpa" pokazano jeszcze „Wszyscy do domu", „Prof. Malmock" a także „Nagą wyspę" Kaneto Shindo, poetycki film o życiu ludzkim. Film, w którym nie pada z ekranu jedno słowo, jest szczególnie ostrym protestem przeciw beznadziejności istnienia, przeciw okrucieństwu losu.

Czy wiesz co to jest „PIGWA"?

Taką nazwę przyjął „Kabaret Młodego Aktora", który występuje w Klubie Studentów (Łódź, Piotrkowska 77). W programie inauguracyjnym zatytułowanym **„Przekrojem przez „Przekrój"** wystąpili: Teresa Kałuda, Alicja Krawczykówna, Izabela Pieńkowska, Henryk Jóźwiak, Jerzy Kamas, Zbigniew Płoszaj i Tadeusz Wieczorek. Na tym zaczynają się i kończą nasze wiadomości o „Pigwie". Nie znamy nazwiska kierownika zespołu. Nie znamy programu. Nic nie możemy powiedzieć na ten temat. Ani dobrze ani źle. Nie możemy się do niczego przyczepić, ani nic pochwalić. Przepraszamy bardzo. Chwalić, owszem: Jest co. A mianowicie pomysł. Otóż naszym zdaniem, pomysł jest świetny. Co prawda, nienowy, ale wart poparcia. O ile, oczywiście, realizacja nie nastręczy wątpliwości. Nie wiemy, jakie będą dalsze losy kabaretu. W jakim kierunku się rozwinie. Mimo to należy już teraz pozytywnie pokwitować ów kabaret.

Mamy jednakże tutaj pewne propozycje. Otóż, jak wiadomo, klub studenta jest placówką zamkniętą. Można by powiedzieć „elitarną". Jest w Łodzi natomiast szereg klubów przyfabrycznych i domów kultury (np. bardzo interesujący Dom Kultury na Przędzalnianej), które organizują w określone dni tygodnia wieczorki taneczne (bezalkoholowe). Dobrze by było, gdyby kabaret „Pigwa" zagościł i na tamtych „prowincjonalnych" scenach. Wydaje mi się, że byłoby to bardzo pożyteczne. O ile powtarzamy, „Pigwa" jest coś warta. O korzyściach płynących z tego rodzaju polityki kabaretu, nie trzeba mówić.

Zainteresowanych „Pigwą" odsyłamy na str. 8, gdzie daliśmy recenzję fotograficzną z pierwszego spektaklu. Rzecz prosta, za oko kamery nie odpowiadamy. Składamy natomiast najlepsze życzenia.

NOS

Jeden z galerii nożowników

Dalszy ciąg ze str. 1

ko w nocnych koszulach. Stara i młoda. Patrzyły na niego oczyma rozszerzonymi ze strachu.

— Co ty? Co ty? Czego chcesz ode mnie? Co to ma znaczyć? — krzyknęła Danuta rozpaczliwie.

— Uspokójcie się — warknął — ja tylko tak... żartuję. — Ale swoją drogą — dodał ponuro — to tu na podłodze, to byście się akurat obie pomieściły...

— Co to ma znaczyć!? — zapytała drżącym głosem Danuta.

— Ach, nic. Mówię, że mogłybyście obie nie żyć. Tylko co wtedy będzie z dzieckiem? A może by tak i dziecko też?...

— Stefan! Co ty wygadujesz?

— Nic. Nic, nic. Chce mi się spać — odrzekł ziewając. Począł się rozbierać. Robił to powoli i systematycznie. Zdjęte rzeczy układał porządnie w kostkę. Jak w wojsku. Położył się.

— Nie! Nie! — zawołała gorączkowo — Mówiłam ci: — Wszystko między nami skończone!

Wówczas wstał. Równie powoli i systematycznie ubrał się. Włożył płaszcz, czapkę. Na ręce naciągnął rękawice. Ciężkim krokiem podszedł do szafy i odwrócił się do nich. Były odcięte od wyjścia.

— Zrzebaczysz? — zapytał groźnie.

— Nie!

Błyskawiczny ruch ręki do wewnętrznej kieszeni płaszcza. W prawej dłoni coś matowo błysnęło. „On ma pistolet!" — krzyknęła przeraźliwie Helena.

— Stać spokojnie i nie ruszać się! — ryknął — Teraz z wami będzie koniec! Wy na Zarzew[1]), a ja do więzienia!

— Stefciu! Co ty? — zawołała Helena T. podbiegając równocześnie do zięcia i zasłaniając swoim ciałem córkę.

— Zlituj się nad nami! Nie zabijaj nas!

— Teraz prosicie o litość? — wrzasnął.

Teściowa zrobiła jeszcze krok naprzód. Wówczas skoczył. Błysnęło ostrze. Cios. W samą twarz. Helena zatoczyła się. Zasłoniła oczy rękami. Przez palce pociekła krew.

— Ratunku! Ratunku! — krzyczała rozpaczliwie Danuta.

— Ratunku! — piszczała Elżbietka, która obudziła się przed chwilą. Dziecko wyskoczyło z łóżeczka i z krzykiem skryło się pod stołem.

Stefan W. skoczył w jej stronę.

— Milcz „znojdku", bo i ty dostaniesz nożem!

Znowu na drodze stanęła mu teściowa! Zasłaniała tym razem dziecko. Z wściekłością pchnął nożem. Rozległ się krzyk bólu. Helena osunęła się na podłogę.

W tym momencie Danuta podbiegła do drzwi. Stefan W. był szybszy. Chwycił ją za włosy. Rzucił na ścianę.

— Zmiłuj się! Zlituj! Mam dziecko! — błagała.

Zacisnął palce na jej gardle. Obalił na tapczan. Znowu ręka uzbrojona w nóż kilkakrotnie podniosła się do góry. Dokładnie siedem razy. Krzyk ofiary był coraz cichszy.

Wtem z korytarza rozległy się jakieś wzburzone okrzyki. Lokatorzy!

Stefan W. jednym skokiem był przy drzwiach. Otworzył je i wpadł na zewnątrz z nożem w dłoni.

— Kozejść się! — ryknął.

Szybki tupot nóg po schodach. Gwar ludzkich głosów. Po jakimś czasie z dwóch stron uliczki Borsuczej zawyły syreny alarmowe. To pędziło pogotowie ratunkowe i milicja.

* * *

Po pewnym czasie siedziała przed moim biurkiem Danuta W. Niedawno wyszła ze szpitala. Wysoka. Tęga. Twarz blada. Dobre, niebieskie oczy. Duże, spracowane dłonie. Przypomniałem sobie koszulę nocną tej kobiety. Była to jedna skorupa krwi. Przede mną leżała także poszwa na pierzynę, przecięta nożem w trzech miejscach. To wówczas Stefan W. nie trafił. Gdyby wszystkie ciosy dosięgły celu, zapewne nie mógłbym z nią teraz rozmawiać. Biorę do rąk opinię lekarzy: „rana kłuta lewego podbrzusza styczna do powłok z wylotem w okolicy pępka i przedłużeniem po drugiej stronie okolicy pępka, rana kłuta przedniej ściany klatki piersiowej po stronie lewej z przecięciem chrząstki żebra III i odmą podskórną, rana cięta przyśrodkowej powierzchni ramienia lewego w okolicy dołu pachowego — do powięzi".

— Jak się pani czuje? — pytam.

— Teraz już lepiej — odpowiada — ale, ale... co się z nim dzieje? Bo ja się boję. On przyjdzie... zabije mnie.

Tak. Co się z nim dzieje? Tego nie wiem. Wszczęte z całą energią poszukiwania nie dały dotychczas rezultatu.

— Niech mi pani opowie o swym pożyciu z mężem. Proszę pamiętać, że ważne są dla mnie wszystkie szczegóły, nawet te które pani mogą wydawać się nieistotne. Uprzedzam panią również, że jako żona podejrzanego może pani odmówić zeznań w tej sprawie.

Chce zeznawać. Słucham jej historii. Jakże często słyszę podobne opowiadania. Ileż to skrzywdzonych, bezbronnych kobiet szuka ochrony u prokuratora! Ale nie każda sprawa kończy się pięciorna ranami i siedmioma ciosami noża.

Pobrali się w 1954 roku. Pożycie małżeńskie układało się od samego początku bardzo nieszczęśliwie. Już w czasie weselnego przyjęcia Stefan W. urządził karczemną awanturę w czasie której pobił dotkliwie brata żony — Eugeniusza T. Stefan W. groził wówczas Eugeniuszowi T. zabójstwem. Eugeniusz T. od tego czasu bał się szwagra i skrupulatnie go unikał. Małżonkowie W. zajmowali jeden pokój wraz z matką Danuty W., Heleną T. oraz córką Danuty W. z pierwszego małżeństwa, Elżbietą J. Stefan W. był pijakiem i awanturnikiem. Nie dawał żonie pieniędzy na utrzymanie, często bił ją i groził, że w wypadku gdyby zameldowała milicji o jego zachowaniu, „wykończy ją" i „wypruje jej wnętrzności z brzucha". Nieszczęśliwa kobieta, nie pierwszej już młodości, znosiła wszystko z tą podziwu godną, a jakże często zdarzającą się cierpliwością. Była zresztą w szczególnie ciężkiej sytuacji i przyzwyczajona do wielu cierpień: jej poprzedni mąż zawarł z nią związek bigamiczny. Został za to aresztowany i skazany. Również był pijakiem.

W dniu 1 maja 1959 roku Stefan W. usiłował udusić swą żonę za to, że ośmieliła się zaprotestować przeciwko piciu wódki od rana, proponując w zamian popołudniowy spacer. Chwycił ją wówczas w mieszkaniu, w obecności córki za szyję i zaczął dusić tak, że straciła przytomność. Dziecko wezwało na pomoc sąsiadkę, Reginę A. Stoczyła ona formalną walkę ze Stefanem W., który dwukrotnie rzucił ją na podłogę. W końcu udało się jej oderwać zbrodniarza od na wpół żywej żony. Wtedy to Stefan W. wyciągnął z szuflady kredensu nóż kuchenny i zagroził żonie, że ją zabije. Nieszczęsna kobieta czołgając się na kolanach błagała go o zmiłowanie, zaś Regina A. wyrwała mu nóż wykorzystując chwilę nieuwagi.

Od tego wypadku zachowanie Stefana W. nie tylko nie uległo poprawie, ale z każdym dniem stawało się gorsze. Kiedyś wieczorem przyszedł do domu. Żona podała mu obiad. W całym, piętrowym domku, położonym na uboczu, było zupełnie cicho. Przy stole siedziała także jej córeczka, Elżbietka. Wówczas Stefan wyjął gazetę i odczytał żonie informację o ujęciu i skazaniu męża, który pozbawił życia swą żonę. „Głupi był" — oświadczył Stefan — „że się dał złapać". „Trzeba wiedzieć, gdzie, co i jak robić, ja tam bym nie był taki dureń". Potem zamyślił się głęboko, a po jakimś czasie powiedział, patrząc na żonę: „O, na przykład tutaj. Nikt się nikim nie interesuje. Mógłbym zarżnąć cię jak świnię i choćbyś krzyczała, i tak by nikt w tym domu palcem nie ruszył".

Danuta W. żyła w nieustannym strachu wobec gróźb, aż w końcu postanowiła rozejść się z mężem. W dniu 7 listopada 1959 roku Stefan otrzymał wypłatę. Po powrocie do domu żona poprosiła go, aby dał jej część pieniędzy na życie. Stefan krzyknął: „won, suko, od moich pieniędzy, nie dostaniesz nawet złamanego grosza!" Wówczas to Danuta powiedziała, że lepiej będzie dla nich obojga, jeżeli rozejdą się w spokoju i zaproponowała aby Stefan W. poszukał sobie innego mieszkania. O dziwo. Stefan W. spokojnie przyjął tę propozycję i oświadczył, że wyprowadzi się od żony. Tego samego dnia wrócił jednak kompletnie pijany i nocował w domu. Rano, w dniu 8 listopada Danuta zakomunikowała kategorycznie mężowi, że wszystko między nimi jest skończone. Na to Stefan W. powiedział, że idzie szukać mieszkania i wyszedł z domu. Nie było go cały dzień i kobiety już położyły się spać, gdy około godziny 23 rozległy się znajome kroki na schodach...

Opowieść dobiegła końca. Od dawna już minęły godziny normalnego urzędowania. Dawno zapłonęły światła latarni. Padał gęsty śnieg. Zgarbiona, zmęczona kobieta opuszczała gmach Prokuratury.

* * *

Postępowanie dowodowe miałem w zasadzie ukończone. Wszyscy przesłuchani świadkowie potwierdzili prawdziwość zeznań poszkodowanej. Stwierdziłem, że Stefan W. był od dawna notowany w rejestrach skazanych: dwukrotne kradzieże, raz napad rabunkowy. Jasne było, że działał on z myślą zabicia żony, że od dawna nosił się z tym zamiarem i że w dniu 8 listopada usiłował ten zamiar zrealizować. Nie można było również zaręczyć, że życie nieszczęsnej kobiety obecnie nie jest zagrożone. Dopóki Stefan W. pozostawał na wolności, wszystko było możliwe. Sprawa ta nie dawała mi spokoju. Trwały usilne poszukiwania, jednak bez rezultatu. Dom W. znajdował się pod stałą obserwacją. Nic więcej zrobić nie mogłem.

* * *

Było to 15 grudnia 1959 roku. Wychodząc właśnie z pracy, zauważyłem w korytarzu mężczyznę, który bacznie mnie obserwował. Kiedy zamknąłem gabinet i skierowałem się w stronę schodów, człowiek ten szybko zbliżył się do mnie.

— Pan prokurator?

— Tak.

— Nazywam się Stefan W... Po chwili siedział już po drugiej stronie biurka...

— Dlaczego przestaliście się ukrywać i zgłaszacie się do mnie? — spytałem.

— Tak, ukrywać się — powtórzył gorzko. — Jak tu można się ukrywać? Wszędzie depczecie po piętach. Koleżki się ode mnie odwrócili. Nikt nie chciał przygarnąć. Każdy się boi. Łobuzy ci moi kumple!... Początkowo spałem w lesie. Koło Łagiewnik. Nigdzie się nie pokazywałem. Ale tam zimno, śnieg, mróz. Potem przeniosłem się bliżej miasta. Ukrywałem się w opuszczonej szopie. Ale tam niewiele lepiej. Kiedy skończyły się pieniądze, nie miałem co jeść. Głodowałem. Marzłem. Niech pan zresztą spojrzy na mnie. Mam dość! Róbcie co chcecie!

Rzeczywiście. Wyglądał marnie. Twarz wychudła. Skóra na kościach policzkowych naciągnięta. Zarośnięty i brudny. Włosy zmierzwione. Oczy czerwone i zapuchnięte. Płaszcz jak psu z gardła. W ubraniu pełno kawałków słomy i jakichś paprochów.

Złożył wyjaśnienia mętne, nielogiczne i niekonsekwentne. Utrzymywał, że nie chciał żony zabić, zaś nóż znalazł przypadkowo na ulicy właśnie w tym momencie, kiedy wchodził do domu. Nie potrafił wyjaśnić swego postępowania. Chytrze mrużył oczy i udawał głuchawego, żeby mieć czas na sformułowanie odpowiedzi na zadawane pytania. Przyznał fakty grożenia zabójstwem, ale twierdził, że nigdy tych gróźb nie miał zamiaru spełnić. Wykazał się doskonałą znajomością kodeksu karnego. Zasłaniał się brakiem pamięci i robił wszystko, aby mnie przekonać, że działał pod wpływem silnego afektu.

Były to wyjątkowo ubogie i żałosne wyjaśnienia.

Kiedy ogłosiłem mu postanowienie o aresztowaniu i gdy wychodził z Prokuratury otoczony konwojem MO — robił wrażenie zadowolonego. Nie musiał się już przecież ukrywać!

* * *

Badania psychiatryczne wykazały jego pełną poczytalność.

Sąd Wojewódzki dla m. Łodzi, w Wydziale IV Karnym nie dał wiary wyjaśnieniom oskarżonego Stefana W., ani uczonym wywodom obrony i skazał go, zgodnie z kwalifikacją prawną aktu oskarżenia, za usiłowanie zabójstwa Danuty W., za spowodowanie obrażeń ciała Heleny T. i za stałe grożenie zabójstwem swej żonie — na karę łączną 9 lat więzienia.

ANDRZEJ OSTOJA

1) Zarzew — jeden z łódzkich cmentarzy.

Wojna zmyślona

W numerze 21 „Dziennika Łódzkiego" (24.1.62) przeczytaliśmy szereg wypowiedzi pracowników i aktorów Teatru Nowego, poświęconych z jednej strony smutnemu faktowi odejścia Kazimierza Dejmka do Warszawy, z drugiej — przyszłości teatru. Były to wypowiedzi pełne wiary w pomyślne losy teatru, jednego z najlepszych w kraju. Dobrze się więc stało, że tysiące ludzi mogło te oświadczenia przeczytać. Dobrze m. in. dlatego, że łodzianom bardzo zależy na dalszym rozwoju tej świetnej sceny i jej dalszych sukcesach. Opinia publiczna podniecona odejściem Dejmka została, jak się zdaje, poważnie uspokojona. Przy okazji jednak i fałszywie poinformowana.

Piszemy o tym, mając na myśli wypowiedź bardzo cenionego aktora p. Seweryna Butryma. Odpowiedział on bowiem na pytanie, które stawia sobie wielu ludzi: dlaczego właściwie odszedł Kazimierz Dejmek? Pan Butrym znalazł bardzo łatwo winowajcę, twierdzi mianowicie, że to „Odgłosy" zawiniły, bo drukowały nieprzychylne recenzje. Odpowiedź nie tylko fałszywa, ale wręcz żenująca.

Czy my naprawdę musimy znaleźć winnego i to metodą „łapaj złodzieja". Czy łodzianie istotnie mają myśleć, że Dejmek stchórzył przed „Odgłosami", a p. Butrym dotrzymuje im dzielnie placu w wojnie, którą sam wymyślił? Czy tak jest rzeczywiście, że winni są ci co piszą? Mówiło się, co prawda, kiedyś w ten sposób, ale ustami ludzi, z którymi — jak sądzimy — p. Butrym nie ma nic wspólnego. „Trybuna Ludu" jest znacznie potężniejszym organem niż nasz skromny tygodnik, na łamach „Trybuny" ogłosił Jaszcz serię bardzo nieprzychylnych recenzji o teatrze w Nowej Hucie, równie dobrym teatrze jak nasz. A jednak Skuszanka i Krasowski pracują nadal. Nikt z aktorów Teatru Ludowego nie łajał Jaszcza, tak jak pisarze nie pouczają recenzentów, jak mają o ich książkach pisać. Znane są kąśliwe recenzje Kotta i innych krytyków, nieznane są natomiast skutki, które usiłuje p. Butrym znaleźć w Łodzi.

Myślimy więc, że wielcy ludzie teatru nie boją się aż tak strasznie recenzentów, Kazimierz Dejmek nie przestraszył się naszych recenzji. Również i dlatego, że oceny, które publikowaliśmy, były w olbrzymiej większości pozytywne. P. Butrym ma swój pogląd na istotę krytyki teatralnej, wymaga np. od recenzenta, aby nie wyrażał swoich opinii, tylko cudze, np. Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, bo to bardzo ważna instytucja. Uważa za wzór znane z wnikliwości i pasji nieprzypodchlebne recenzje M. J. z „Dziennika Łódzkiego" To mu wolno.

Ale posądzanie naszego pisma o kampanię przeciwko Dejmkowi, czy Teatrowi Nowemu, to już sprawa wymagająca odpowiedzi. Przed takim zarzutem, i przed tego rodzaju wprowadzaniem opinii publicznej w błąd, musimy się bronić. Przypominamy więc, że przeszło rok temu ogłosiliśmy na łamach naszego tygodnika rodzaj ankiety na temat: „Czy teatr Dejmka powinien pozostać w Łodzi?" Uzyskaliśmy i publikowaliśmy wypowiedzi szeregu wybitnych ludzi teatru i pisarzy z całego kraju. Podzielali oni pogląd „Odgłosów" — to nasz łódzki teatr, jego miejsce w Łodzi. Pan Butrym o tym zapomniał.

Ogłosiliśmy ankietę, gdyż sprawa ewentualnego jeszcze wtedy przeniesienia się Dejmka do Warszawy, istniała już ille tempore, ma — po prostu — swoją historię, byliśmy zawsze tego świadomi. Interesowaliśmy się Teatrem Nowym i jego szansami rozwojowymi, widzieliśmy ten teatr w gmachu przy placu Dąbrowskiego, pisaliśmy o tym ekspressis verbis. Jeszcze niedawno temu wyraziliśmy wątpliwość, czy oddanie tego gmachu operze jest słuszne, pozostawiając zresztą kwestię do dyskusji. Pan Butrym o tym zapomniał, ale może pamiętał Kazimierz Dejmek, może miał jakieś plany na miarę swoich ambicji i możliwości, związane właśnie z placem Dąbrowskiego? Kto jak kto, ale p. Butrym powinien coś o tym wiedzieć. Może w tym właśnie miejscu należy szukać jednej z przyczyn odejścia K. Dejmka, a nie wśród dziennikarzy?

Pan Butrym posądza nas, co więcej, przy pomocy dowolnie wybranych cytacików (w ten sposób można dowieść antymarksizmu u Marksa), że w jakiś tam bliżej nieokreślony sposób stwarzaliśmy aurę ucieczki najzdolniejszych ludzi z Łodzi. I znowu winni ci, co piszą. Radzimy przeczytać interesujący i słuszny artykuł red. Z. Kozłowicza pt. „Rola jednostki w Łodzi" („Głos Robotniczy", nr 22, dn. 26.1.62). On dobrze wyjaśnia prosty w gruncie rzeczy mechanizm naturalnych ambicji człowieka. Każdy ma prawo pracować tam, gdzie uważa za stosowne, zwłaszcza jeśli dobrze służy sprawie kultury.

Ze swej strony przypominamy: broniliśmy w miarę skromnych możliwości interesów miasta, pisaliśmy o naszych osiągnięciach w dyskusji „Czy Łódź jest miastem kulturalnym?", chociaż nie przyklaskujemy wszystkiemu, co się u nas dzieje. Odpowiadaliśmy pismom warszawskim, kiedy atakowały złośliwie Łódź, sprosiliśmy łącznie z Radą Narodową do naszego miasta najwybitniejszych reportażystów, aby je poznali i opisali. W rezultacie szereg najpoważniejszych tygodników krajowych pisało o niewątpliwym rozwoju Łodzi. Polemizowaliśmy z prof. Bohdziewiczem, który przenosząc się do Warszawy chciał zabrać ze sobą przy okazji Wyższą Szkołę Filmową. Taka jest właśnie funkcja „Odgłosów", służyć Łodzi. P. Butrym i o tych faktach zapomniał.

Doprawdy, wolelibyśmy oklaskiwać — jak dotąd — jego świetne role w teatrze, niż pisać tę odpowiedź, do której niepotrzebnie nas zmusił.

red.

Dokończenie ze str. 1

były największe — nie mogą zdawać dziś egzaminu. Łaskawy Czytelnik pozwoli, że pokrótce rzecz wyjaśnię. Otóż w Bibliotece Miejskiej która jest, jak wiadomo, biblioteką publiczną, a nie naukową, stosuje się niepotrzebnie zbyt szczegółowe opisy książek na kartach katalogowych, podając na przykład format, drukarnię, co oczywiście proces opracowania książki znacznie przedłuża. Poza tym nie stosuje się tu powszechnie używanych Katalogów szufladkowych, co z kolei pociąga za sobą konieczność wypisywania ręcznie lub na maszynie całych kart (brak gotowych druków).

Absolutnie nie twierdzę, że opóźniony przypływ książek do Czytelnika jest tą główną zasadniczą przyczyną, która spowodowała tak niekorzystną lokatę Łodzi na czytelniczej mapie Polski. Nie twierdzę tak, bowiem przyczyn tych jest więcej, i w gruncie rzeczy żadna z nich nie zasługuje na miano tej najważniejszej.

A więc jak się rzekło na wstępie brakuje nam do obowiązującego minimum równo 30 nowych bibliotek. Wyłania się w związku z tym problem nowych lokali bibliotecznych. Jeśli o nowe budownictwo chodzi, nasze władze partyjne i miejskie sprawę załatwiły w ten sposób, że Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych zobowiązana jest wygospodarować te lokale. Postanowiono równocześnie owe peryferyjne w większości wypadków biblioteki wykorzystać dla innych form działalności kulturalnej jak: odczyty, koncerty itp. Przykładem — Biblioteka przy ul. Marynarskiej 9, gdzie obok odczytów na tematy kosmiczne czy literackie organizuje się nawet występy artystów Filharmonii. Placówką przy Marynarskiej kieruje p. Zofia Kamińska bibliotekarka z 31-letnim stażem pracy. Piszemy o tym, bowiem wielu jest w Łodzi bibliotekarzy starszych, doświadczonych, podchodzących do swej pracy zarówno z dużą pasją jak i sentymentem. W Helenowie np. pracuje p. Jadwiga Paluszyńska mająca za sobą ponad 20 lat pracy w bibliotekach Czy tylko bibliotekach? Otóż nie. Pani Paluszyńska pomaga w dokształcaniu swoim czytelnikom, pomaga przy organizowaniu świetlicy i dziś w tej świetlicy prowadzi pożyteczną działalność kulturalno-oświatową.

Powtarzam, takich ludzi jest w Łodzi wielu. Znaczenie ich pracy — ogromne. Dlatego trudno pojąć czemu tę skromną, ale jakże pożyteczną grupę ludzi nie zawsze traktuje się we właściwy sposób. Jakże często nagrody, wyróżnienia, omijają pracowników bibliotek. A jakże często ludzie ci prowadzą swą trudną pracę za wynagrodzenie nie przekraczające tysiąca złotych miesięcznie. Jakże często pensja bibliotekarki kształtuje się w granicach wynagrodzenia pracującej w bibliotece... sprzątaczki.

Ale wróćmy do Osiedla Wł. Bytomskiej, bo właśnie tam pośród kolorowych bloków znaleźć można inny, jakże żałosny przykład stosunku do spraw czytelnictwa. Owym drugim przykładem jest pawilon przy ul. Środkowej.

Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych wykonując zalecenia władz, owszem, zbudowała pawilon biblioteczny tylko — bagatelka — zapomniała podłączyć światło i uruchomić centralne ogrzewanie. Już od listopada nowy personel biblioteki czeka na wykończenie prac, od miesięcy trwają interwencje i... nic. Dla Dyrektora DBOR nr 1 czytelnictwo, biblioteki to — być może — fiume i ultramaryna, ale na boga, przecież w Osiedlu Władysława Bytomskiej mieszkają ambitni ludzie. Ci ludzie chcą czytać. A w tej chwili wszystko wskazuje na to, że biblioteka nieprędko będzie czynna — niestety już dziś pawilonowi potrzebny jest... remont chociaż otwarcia nie było. Miesiące nieogrzewania spowodowały, że w obecnym stanie lokal nie nadaje się do użytku.

Nowe biblioteki w nowych blokach nie kończą oczywiście listy owych czytelniczych „spraw do załatwienia". Obserwujemy zresztą słuszną tendencję przenoszenia bibliotek już istniejących do lokali nowych. Niestety, bibliotek ślicznych, nowoczesnych przypominających luksusowe bomboniery nie jest tak wiele. Niestety, większość przypomina sławetny lokal przy ul. Wspólnej 8, gdzie co pewien czas trzeba wymieniać doszczętnie zagrzybione regały, gdzie zamiast walki o czytelnika można co najwyżej toczyć walkę z ciasnotą, wilgocią, grzybem i zimnem. Na Wspólnej pracuje młodziutka adeptka bibliotekarstwa p. Barbara Celeda. Jedna z najmłodszych stażem, a być może i wiekiem bibliotekarek łódzkich. Pracuje dzielnie za niewielką pensyjkę ale myśli o zaocznych kursach i uzupełnieniu kwalifikacji...

Wiele lokali bibliotecznych wymaga jak to zostało wyżej powiedziane kapitalnego remontu. Kapitalnego remontu wymaga również bibliotekarska siatka płac. Nie wiem i nikt chyba nie wie czemu na przykład piotrkowski bibliotekarz uposażony jest z reguły lepiej niż łódzki. Poza tym ktoś, kogo trudno nawet już dziś wskazać palcem wprowadził w swoim czasie zasadę rozpoczynania pracy od najniższych stawek. Ów ktoś nie grzeszył widać z trowym rozsądkiem, bowiem zahamował w ten sposób dopływ do bibliotekarstwa ludzi po studiach.

Wnioski jakie wyciągnął z analizy łódzkiego czytelnictwa Komitet Łódzki Partii są zatem wyraźne: poprawa sytuacji bibliotekarzy.

Oczywiście sprawa nie jest taka prosta. Trzeba bowiem dziś walczyć o to co zaprzepaszczono w swoim czasie w Bibliotece Miejskiej im. Waryńskiego. Wtedy to wspomniana centrala nie wykorzystała sporej wiązki tysięcy z... funduszu płac. Efekt był oczywisty, obcięto fundusz o nie wykorzystaną sumę. Dziś władze partyjne i miejskie szukają sposobu odzyskania pieniędzy straconych kiedyś na skutek zastanawiającego niedbalstwa. A pensje szarych, nie dostrzeganych lecz prowadzących w całym tego słowa znaczeniu dobrą robotę pracowników bibliotek, nie przekraczają w przeważającej większości zaklętego pułapu tysiąca złotych

* * *

To prawda. Są i takie, pięknie urządzone, biblioteki...

...Ale są i takie, jak ta przy ul. Środkowej. Puste, nieczynne, ze zwałami śmieci przed wejściem.

GDZIE MIEJSCE DLA BIBLIOTEK?

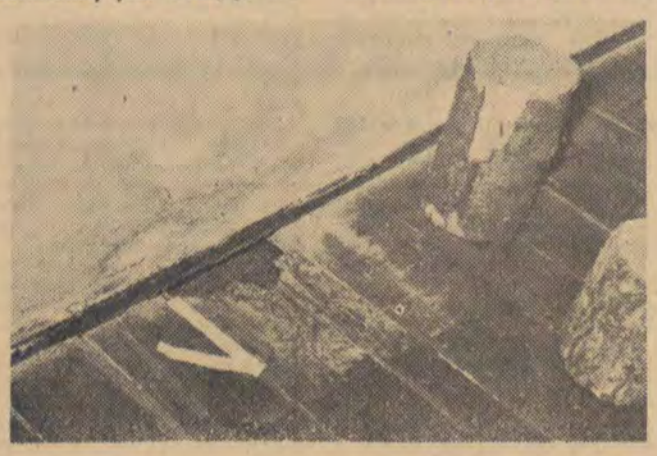

W bibliotece przy ul. Wspólnej 8, niektórzy czytelnicy pożerają (dosłownie) książki. Aby im to utrudnić dziury w podłodze zastawia się klockami z drzewa. Ale szczury się nie zrażają.

No cóż, gdzież więc jest w końcu „miejsce dla bibliotek"? Czy istotnie w ogonie statystycznych wykazów? I czy słuszne są podnoszone tu i owdzie głosy, że miasto robotnicze nie będzie czytać, że robotnik z książką to wymysł schematycznego romantyka? Bzdura! Pogrzebany jamnik leży gdzie indziej. Problem zaczyna się i kończy w nienajlepszej organizacji pracy, w (czasem) braku kwalifikowanych sił (patrz siatka płacy), w głupocie lub bezmyślności urzędnika... Przyczyn jak się rzekło, na wstępie jest sporo i każda z osobna swoim niemałym ciężarem ciągnęła bibliotekarstwo łódzkie, szczycące się dotąd piękną tradycją, na sam koniec statystycznych tabel.

Co robi się w kierunku, aby zelżał ciężar owych przyczyn? Poza wymienionymi już wyżej postulatami Komitetu Łódzkiego władze partyjne proponują aby wykorzystać w pracy bibliotek rejonowych w pełni kwalifikowanych pracowników Biblioteki Miejskiej. Dotychczas bowiem cały bagaż pracy z rozrzuconymi po Łodzi 40 bibliotekami rejonowymi spoczywał na barkach... 4 pracownic Działu Sieci Bibliotek. Poza tym rzucono bardzo pożyteczny i konstruktywny projekt udziału bibliotekarzy w pracach Dzielnicowych Rad Narodowych. Pracach dotyczących, rzecz prosta problemu czytelnictwa i bibliotek.

Wydaje się zatem, że zrobiono już sporo w kierunku poprawy żenującej sytuacji w łódzkim bibliotekarstwie. Chodzi przecież nie tyle o wstydliwą lokatę statystyczną, chodzi przede wszystkim o to co się za taką lokatą kryje. A kryją się za nią tysiące wbitych w regały nie czytanych książek, kryje się zmarnowana, nie wykorzystana pasja dziesiątków ludzi, kryją się zmarnowane pieniądze. I wreszcie stoją za tą statystyczną tabelą ludzie, żywi ludzie, którzy na skutek takiego czy innego układu przyczyn nie znaleźli jeszcze drzwi z napisem: „Biblioteka czynna od-do". Drzwi, za którymi roztacza się nieogarniony oczyma rozległy jasny horyzont. Chcielibyśmy aby jak najwięcej ludzi poznało jego piękno.

JERZY WILMAŃSKI

Zdjęcia: W. KRASKA

Dalszy ciąg ze str. 1

mów... Nie wyglądało to wszystko na zwykłą pacyfikację. Widać było, że hitlerowcy przyjechali pod wskazany adres, specjalnie po kogoś.

Otoczyli bowiem chałupę Kosmali, naprzeciwko domu, w którym ja kwaterowałem, ale na szczęście nie było tam partyzantów. Musieli widocznie otrzymać donos, Kosmala współpracował z nami, a jego córka — Stasia — była łączniczką naszego sztabu.

Ukryty, dalej obserwowałem jak Niemcy demolują mieszkanie, zrywają podłogi, szukając broni. W powietrzu zrobiło się biało od pierza z pierzyn i poduszek. Rozwścieczeni żandarmi, którzy nic nie znaleźli rozbijali talerze, druzgotali meble. Dobrą godzinę stałem tak przy oknie, zastanawiając się czy rewizja ograniczy się tylko do zabudowania Kosmali, czy też żandarmi pójdą i do innych domów. W pewnej chwili z ulgą spostrzegłem, że ładują się na samochody niestety nie sami. Z przerażeniem obserwowałem jak prowadzili, skutą w kajdankach — Stasię Kosmalankę, naszą łączniczkę...

II

Bezpośrednie niebezpieczeństwo zniknęło, żandarmi odjechali, ale dopiero teraz poczuliśmy się naprawdę zagrożeni. Stasia wiedziała prawie wszystko. Znała wszystkie „meliny", wiedziała gdzie znajduje się broń. Meliny można było oczywiście zmienić, broń przenieść w inne miejsca, ale co z ludźmi, w takim na przykład Wymysłówku? My leśni, mogliśmy się wycofać do lasu, wrócić do miejsca postoju całego oddziału, ale co miała robić cała wieś? Gdyby Stasia zaczęła sypać, prawie wszystkim mieszkańcom Wymysłówka groziłaby egzekucja za udzielanie pomocy partyzantom.

Stasia była z nami w oddziele prawie od samego początku, uczestniczyła w najbardziej poważnych akcjach jak na przykład — w zamachu na pociąg wiozący sztab oddziałów pacyfikacyjnych w Teklinowie, wiedzieliśmy, że w walce można na nią liczyć i bezgranicznie jej ufać. Ale to co czekało ją teraz to już nie walka. Teraz była przerażliwie sama, zdana na własne siły. Czy wytrzyma tortury? — Na to pytanie trudno było znaleźć odpowiedź. Wiedzieliśmy przecież że załamywali się nieraz najbardziej wytrzymali mężczyźni. Stasia zaś była młodą dziewczyną...

Należało podjąć decyzję: wycofać się do lasu, oczywiście o zabraniu ze sobą mieszkańców Wymysłówka nie mogło być mowy, czy też czekać na rozwój wydarzeń. Postanowiliśmy czekać, rozstawić wokół wsi czujki, by nie pozwolić się Niemcom zaskoczyć, a do Radomska wysłać kilku chłopców na zwiad. Mieliśmy swoich ludzi w policji granatowej i przez nich można się było dowiedzieć co ze Stasią.

W dwa dni później dysponowaliśmy szczegółowym raportem. Kosmalów wydał zdrajca Półrola z Radomska, a Stasia przebywa obecnie pod strażą w szpitalu, gdzie ją gestapo umieściło po „śledztwie". Wywiad donosił, że Stasia jest potwornie zmasakrowana, ale nikogo nie wydała.

Wiedzieliśmy, że sprawa nie jest jeszcze skończona. Gestapo chce widocznie podleczyć Stasię, a później znowu wziąć ją na tortury. Inaczej byliby ją od razu rozstrzelali albo wysłali do obozu koncentracyjnego.

W ŚWIĘTĄ NOC...

Ilu jej pilnuje w szpitalu? — zapytałem łącznika.

— Sześciu, żandarmi i granatowi — odpowiedział.

Pomyślałem wtedy, że moglibyśmy odbić Stasię. Trudność akcji nie polegała jedynie na tych sześciu strażnikach. W ostatnich miesiącach Niemcy zgrupowali w Radomsku specjalne oddziały przeznaczone do walk z partyzantami. Na domiar złego szpital mieścił się przy ulicy Legionów, a przy zbiegu tej ulicy z Wąwozową zainstalowało się gestapo, zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej. Ponadto w pobliżu na ulicy Fabianiego kwaterował oddział Wehrmachtu, a tam gdzie dzisiaj mieści się Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, też niedaleko od szpitala — magistrat, biura „Kripo" i policji granatowej. Ryzyko akcji potęgował jeszcze fakt, że biegnącą obok autostradą Katowice—Warszawa przejeżdżały w tym czasie liczne kolumny wojsk niemieckich, które w wypadku alarmu mogły przyjść z pomocą miejscowemu garnizonowi.

Stasia była ulubienicą oddziału. Chcieliśmy ją ratować, ale nie mogliśmy przecież porywać się z motyką na słońce. Wygubilibyśmy naszych najlepszych ludzi. Ale co będzie jeśli Stasia nie wytrzyma nowej porcji tortur?

Przyszło nam wtedy na myśl, że jest jeden dzień taki w którym możemy zaryzykować, jeden jedyny dzień. Od tego dnia dzieliło nas jedynie 48 godzin, za tyle bowiem godzin rozpoczynały się święta Bożego Narodzenia. Sądziliśmy, że w pierwszy dzień świąt hitlerowcy dobrze sobie wypiją i ich czujność znacznie się zmniejszy...

III

Oddział, który miał odbić Stasię zebrał się 25 grudnia o godzinie 17.30 we wsi Zakrzówek. Do akcji zostali wyznaczeni: Bolesław Hanicz Boruta — dowódca, por. „Grom" — Kubica, por. „Wiór" — Stępnik, ppor. „Kajet" — Górecki, ppor. „Parwus" — Kosela, sierż. Nurek — Rygielski i jeszcze jedenastu innych partyzantów AL. Oddział ten był uzbrojony w dwa erkaemy, 10 pistoletów maszynowych i w broń krótką.

Pod osłoną mroku ruszyliśmy do Radomska. Wkrótce byliśmy w pobliżu szpitala. Z gmachu gestapo dochodziły nas pijackie śpiewy, hitlerowcy na całe gardło zawodzili: „Stille Nacht heilige Nacht".

Podzieliliśmy się na trzy grupy, które jednocześnie miały przystąpić do akcji. Por. Konarski ubezpieczył zachodni odcinek, ustawiając erkaem i 5 automatów przy studni na skrzyżowaniu ulic Legionów i Długiej, por. Grom zajął miejsca w bramach w pobliżu siedziby gestapo. Grupa dowodzona przeze mnie ruszyła na szpital...

Około godziny 18 przekroczyłem bramę szpitala. Personel był przerażony, usłyszałem okrzyki: „panowie nie róbcie nam krzywdy..." Uspokoiłem ich. Zwróciłem się do dyrektora szpitala, by wezwał policję pilnującą Stasi do złożenia broni. Zorientowałem się już bowiem, że na strażników chorej, hitlerowcy, którzy w tym czasie borykali się przecież z poważnymi „trudnościami kadrowymi", przeznaczyli najgorsze ciury spośród żandarmów. Nie spodziewali się widocznie, że pod bokiem gestapo będziemy próbowali uprowadzić ich jeńca. Żan-

darmi rzeczywiście usłuchali, a bali się tak strasznie, że zamknęli się w jednej z separatek. Wraz z „Parwusem" i „Wiórem" poszedłem na górę do sali, w której leżała Stasia. Reszta chłopców ubezpieczała drzwi wejściowe od szpitala.

Twarzy Stasi nie zapomnę już do końca życia. Nasza łączniczka była potwornie zmaltretowana. Ułożyliśmy ją na noszach i błyskawicznie wycofaliśmy się ze szpitala. Podczas całej akcji nie padł ani jeden strzał. Gdy mijaliśmy gmach gestapo hitlerowcy wyli dalej swoje „Stille Nacht". Cieszyliśmy się, że popamiętają tę cichą i świętą noc...

Wkrótce byliśmy już po za miastem. Stasię zostawiliśmy na kuracji u znajomego gospodarza Kipigrocha w Zakrzówku, sami zaś wróciliśmy do lasu. Po pewnym czasie znowu zawitaliśmy do naszej „stolicy" — Wymysłówka, którą — być może — ocaliliśmy tego grudniowego dnia...

Spisał:

ANDRZEJ BERKOWICZ

PRAWDA NIKOMU NIE SZKODZI

Dalszy ciąg ze str. 2

niełatwo do tego przyznać się publicznie. Tym nie mniej takie są fakty.

Wyjaśnienie p. Sobczaka jest klasycznym przykładem — jak się okazuje — stosunku pewnego odłamu nauczycielstwa do spraw szkoły. Uważają oni, że wszystko, co dzieje się w szkole jest wyłącznie jej wewnętrzną sprawą i wara profanom od tych spraw. Stąd i zawołanie: „pilnuj szewcze kopyta!" Uważają oni dalej, że mówienie i pisanie na ten temat zamiast pomagać przynosi tylko szkody. Bo — o zgrozo! — czytają to również uczniowie. I to jest właśnie najtragiczniejsze — uczeń bowiem jest tu traktowany jako bierny przedmiot procesu wychowania. On jest wychowywany i w tym procesie **nie przewiduje się** żadnego jego współudziału. Tak właśnie traktuje się uczniów w Łęczycy, tak właśnie traktuje się ich w wielu innych szkołach. W takiej właśnie formie — bierny przedmiotu procesu wychowania — występują oni w wyjaśnieniu p. Sobczaka. Zajmijmy się zatem przez chwilę tymi problemami są one bowiem natury ogólniejszej.

Po pierwsze — szkoła w Łęczycy znajduje się w takiej specyficznej sytuacji, że pisanie o niej może jedynie pomóc, a nie zaszkodzić. Zapewne p. Sobczak doskonale jest zorientowany w atmosferze jaka otacza liceum łęczyckie. Podczas mojej bytności w tym liceum w mieście było dokładnie wiadomo z kim rozmawiam, ile czasu poświęcam na rozmowy i kto w tym czasie podsłuchuje pod drzwiami. W Łęczycy powszechnie jest wiadomo o wewnętrznych rozdźwiękach w radzie pedagogicznej i nikt specjalnie nie cieszy się z tego powodu poza kilku specyficznie zainteresowanymi rodzicami. Tak więc pisanie o łęczyckim liceum na pewno już nie obniży jego autorytetu w społeczeństwie. No, ale poza Łęczycą jest jeszcze ileś tam szkół i jeśli publicysta nie zaszkodzi już Łęczycy, to może zaszkodzić tym innym szkołom. Tak można sądzić i dlatego, trzeba sobie szczerze porozmawiać na temat granic autonomii szkoły.

Dla mnie osobiście niezmiernie charakterystycznym jest w tej mierze los pewnej inicjatywy społecznej. Oto przed przeszło rokiem CRZZ wydała instrukcję o powoływaniu i pracy zakładowych komitetów opiekuńczych nad szkołami. W instrukcji tej mówiło się wyraźnie o udzielaniu wszechstronnej porady i pomocy w kształtowaniu u dzieci i młodzieży socjalistycznej postawy etycznej oraz materialistycznego poglądu na świat, mówiło się też o przyśpieszeniu procesu pełnej laicyzacji, zapewnieniu pomocy instruktażowej ze strony personelu inżynieryjno-technicznego oraz pomocy materiałowo-technicznej w zakresie wyposażenia szkół i pomocy w umacnianiu autorytetu szkoły w środowisku. Uznano zatem w skali powszechnej potrzebę przyjścia z pomocą i poradą szkole. Sformułowano postulat, sformułowano też program jego realizacji. Miałem zaszczyt i przyjemność uczestniczyć w inauguracyjnym posiedzeniu powołującym radę opiekuńczą, dla m. Łodzi i województwa. Rada taka została powołana, wyłoniono prezydium, przystąpiono do opracowania programu działalności i na tym zakończył się jej żywot. W praktyce jak wiadomo — istniejące komitety opiekuńcze w swojej większości ograniczają się do niesienia pomocy właśnie materiałowo-technicznej i finansowej, pomijając pozostałe dziedziny. Absurdem byłoby tutaj winić za to nauczycieli, ale faktem jest istnienie nawyków spychających z jednej strony całość obowiązków i odpowiedzialności za wychowanie na szkołę — ileż razy słyszymy negatywne w treści pytanie: „tego uczą cię w szkole?" — i z drugiej strony — istnienie nawyków ograniczania ingerencji z zewnątrz w sprawy szkoły — jak uczyć i wychowywać my wiemy najlepiej! Dopiero powolne przełamywanie tych nawyków i wzajemnych niechęci doprowadzi do pełnej realizacji potrzebnej i pożytecznej inicjatywy społecznej. Proces taki powoli i systematycznie zachodzi, niezależnie od tego czy to się komuś podoba czy nie. Ale wniosek z tego powinien być dla wielu nauczycieli zaskakujący. Istnieje bowiem społeczna tendencja do przełamania fałszywej autonomii szkoły. Proces wychowania jest zjawiskiem społecznym i podlega społecznej kontroli. Przy czym młodzież jest też częścią społeczeństwa i z jej uwagami należy poważnie się liczyć, a o tym niektórzy pedagogowie zapominają.

Po drugie — wielu pedagogom z trudnością przychodzi zrozumienie faktu, że współczesna szkoła nie może być nadal oparta na autokratycznym systemie wychowania. Są oni skłonni uważać, że wszystkie przejawy buntu ze strony młodzieży przeciw autokratyzmowi stanowią przestępstwo. Uważają oni, że rację zawsze ma nauczyciel, a jeśli jej nie ma, to tylko inny nauczyciel może mu to wykazać. W żadnym wypadku młodzież. Tymczasem, młodzi nie ryby i swój głos mają. Młodzież potrafi patrzeć i myśleć, a poza tym młodzież zajmie niedługo miejsca dorosłych i trzeba ją do tego przygotować ucząc nie autokratyzmu przecież, ale demokracji. Jak to trudno przychodzi świadczy praca szkolnych organizacji ZMS. Oczywiście, lekką przesadą jest twierdzenie, że nie mamy ruchu młodzieżowego. Ruch taki istnieje i chociaż powoli to jednak wyraźnie kształtuje swoją metodykę pracy. Przy tym w sposób wielce jaskrawy uzewnętrznia się antydemokratyczność systemu wychowawczego szkoły. Uczeń szkoły średniej w Polsce jest przyzwyczajony do roli biernego konsumenta i „przeżuwacza". Organizacja ZMS proponuje mu w wielu wypadkach samodzielność i w wielu wypadkach jej propozycje nie zostają przyjęte. Wtedy organizacja — i to jest oczywisty paradoks — ucieka się do pomocy nauczyciela i to daje już lepsze wyniki, bo działanie idzie utartym kanałem. Zostają wykorzystane nawyki uczniowskie. Oczywiście nie o taką pracę chodzi. ZMS nie zamierza rezygnować z pomocy i opieki nauczyciela — przede wszystkim specyfika szkoły musi zostać poszanowana, ale nie chodzi też o to, aby nauczyciele wykonywali pracę za samą młodzież. Niestety takie zjawiska występują i pozwalają snuć pogwarki na temat bierności, apatyczności i apolityczności młodzieży. Rzecz jednak leży w apodyktyczności systemu wychowawczego szkoły. Rzecz w tym, że uczeń zepchnięty został do roli biernego przedmiotu procesu wychowania i kiedy ma okazję uaktywnienia się, to przychodzi mu niełatwo.

Te ogólne zjawiska mają też swoje miejsce w procesie oddziaływania szkoły łęczyckiej. Przecież mój szanowny polemista przyznaje, że trudności z opisywaną sprawą nie zjawiły się pewnego dnia, że występowały od dłuższego czasu i przez to potwierdza mój pogląd o bezradności rady pedagogicznej. O cóż więc się spieramy? O bardzo ważną sprawę. Oto czy miałem prawo powiedzieć głośno, to w czym nie raz przyznano mi rację w rozmowie, czy miałem prawo powiedzieć wobec nich — maluczkich? Miałem i mam. Bo wokół siebie nie widzę żadnych maluczkich. Widzę przyszłych obywateli kraju w którym żyję, widzę młodych ludzi żyjących i myślących, a nie martwe bierne przedmioty abstrakcyjnego procesu wychowania. I nie moja wina jest fakt, że niektórym pedagogom trudno jest z nimi znaleźć wspólny język.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

Konserwacja trupa

(Paszkwil)

Jakiego trupa? Opery. Gdyż opera jako gatunek widowiska scenicznego — to trup. I to nie tylko u nas — wszędzie, na całym świecie. Jest to rodzaj sztuki, który się na oczach wszystkich rozkłada i wydziela z siebie nieznośne fetory. Kto z ludzi prawdziwie współczesnych i jako tako przytomnych może jeszcze znieść operę bez zatykania... uszu i oczu? Kogo nie razi i nie zraża ostatecznie ten sztuczny twór ni to muzyczny, ni to słowny, ni to wizualny, gdzie muzyka przeczy słowu, a słowo wizji, gdzie jedno przeszkadza drugiemu, a drugie trzeciemu — w rezultacie tworząc chaos i melanż, w którego wyniku otrzymujemy nie harmonijny obraz, lecz obrazę poczucia harmonii czyli satysfakcji artystycznej? W kim może wzbudzić głębszą myśl czy uczucie połączenia zbanalizowanego piasu z trywialnością libretta, kiczowatość treści z anachronicznością formy? To już nie razi i nie zraża, ale wprost obraża! Obraża elementarne poczucie dobrego smaku.

Wprawdzie trupa można na krótko sztucznie ożywić czyli zgalwanizować. Ale po co? Procesu rozkładowego przez to bynajmniej się nie powstrzyma. Zgniły odór będzie się nadal z niego wydzielał i zatruwał nasz zdrowy z przyrodzenia zmysł naturalnego piękna. Można i temu zaradzić przez odpowiednią konserwację trupa. Ale po co? Na co i komu i ku czyjej chwale potrzebna jest mumia tej dawno już wycofanej z obiegu życia martwej postaci sztuki? Opera to poczwarny zewłok, z którego uleciał duch sensu!

Ale czy kiedykolwiek opera miała sens? Miała. W okresie feudalizmu, który ją zrodził i częściowo w okresie porewolucyjnego mieszczaństwa, które naśladowało feudałów. Opera to typowa sztuka dworów monarszych, gdzie balet służył nie tylko wzniosłym wzruszeniom umysłów, lecz mniej wzniosłym podnietom zmysłów, a zespoły baletowe i śpiewacze zastępowały najczęściej dawne haremy i ułatwiały sekretny przetarg na co ponętniejsze niewolnice między wielkopańskimi miłośnikami sztuki nie tyle operowej co haremowej. Tołstoj w „Hadżi-Muracie" opisuje jakim to cynicznie bezinteresownym miłośnikiem i gorliwym opiekunem opery w Petersburgu był swego czasu car Mikołaj I, zwany Pałkinem, gwałcąc po kolei w swej monarszej loży co atrakcyjniejsze wpadle mu w oko baletnice, solistki i primadonny. W ślad za monarchą korzystali z okruchów i odpadków jego nielegalnego loża (w loży) wierni mu zaufani dostojnicy oraz inni z dalszych kręgów usytuowanych czynowników. To samo opisują Balzac i Flaubert w swoich powieściach z czasów Napoleona III. Francuski Król Słońce czyli sławny Ludwik XIV, dla którego pierwsze opery i balety dworskie tworzył niemniej dziś od niego sławny kompozytor Jan Babtysta Lully, wcale nie był mniejszym ich miłośnikiem pod wiadomym względem od cara Mikołaja Pałkina.

Ale czasy Króla Słońce i Mikołaja Pałkina minęły bezpowrotnie. Minęła też bezpowrotnie epoka oper i baletów jako typowych tworów schyłkowego feudalizmu. Wraz z feudalizmem diabli wzięli wszelkie sztuczne formy w życiu i w sztuce — kto dziś nosi peruki albo pisze ronda? Reszta spoczywa jako kuriozа dziwactw ludzkich w grubym kurzu muzeów przeszłości. Jeszcze w niecnych czasach tuż po Kongresie Wiedeńskim i po stłumieniu Wiosny Ludów przez powrotną falę czarnej reakcji feudalno-mieszczańskiej, której symbolem był Franz Joseph, kwitła operetka, rachityczne, lecz często wdzięczne i nie bez pewnego uroku, dziecię dawnej opery dworskiej, uszminkowany rzęsiście i krótkotrwały sztuczny twór sceniczny podobnie jak uszminkowanym pozorami, sztucznym i krótkotrwałym tworem w skali historycznej była w Europie monarchia austro-węgierska.

Operetkę jeszcze i do dziś ratuje dowcip, ratuje lekka filuterność, nieprawdopodobieństwo sytuacji i akcji z przymrużeniem oka, wdzięk popularnych, często ludowej proweniencji, piosenek. Dlatego, operetka, rzężąc dychawicznie, jeszcze żyje. I sądzę, że jeszcze długo żyć będzie, ma bowiem w sobie możliwości, że tak rzekne, protenszowych przemian i przekształceń. Opera takich perspektyw nie ma i dlatego jest utworem typowo muzealnym, zabytkiem bynajmniej nie czcigodnym, wysuszoną z jakiejkolwiek żywotności mumią, krótko mówiąc, beznadziejnie autentycznym i dosłownym trupem.

HENRYK HARTENBERG

Dotknęła mnie

Dotknęła mnie swoim tchnieniem
Jak motyl dal przezroczystą
Jak ptak obłoki na niebie
Jak liście wiatrem owiane
Dotknęła mnie swoim tchnieniem
I świat odmienił się w oczach.

Kula płomienna

Słońce
Mnie przeszyło
I kulą płomienną
Zostało we mnie.

Wiatr
Mnie ścigał
Przynosząc chłód
O świtaniu.

Noc
Mnie wzywała
By odbyć podróż
W głąb naszych pragnień.

Ginąłem
Spalając ciebie
Kulą płomienną
Która życie otwiera.

ZBIGNIEW NIENACKI

Kronika rodziny rewolucjonistów

Aż do ostatnich scen widowiska trwałem w przekonaniu, że mam do czynienia z utworem, pełnym dobrych intencji, lecz raczej chybionym. Zdawało mi się, że utwór ten trzeba będzie ocenić tym surowiej, im bardziej jest on zaangażowany w socjalizm, ponieważ moim zdaniem nic bardziej nie zaszkodziło sztuce socjalistycznej jak utwory słuszne, pełne dobrych intencji, ale nudne, zawierające banały i uproszczenia, odstraszające widza niechlujnością formalną.

„Kwiaty łódzkie" napisane na podstawie książki Stanisławy Sowińskiej — nie są sztuką ani dramatem sensu stricto, być może rzeczywiście odpowiada im określenie — widowisko. Jest to zbeletryzowana, udramatyzowana kronika łódzkiej rodziny rewolucjonistów, obejmująca bez mała lat trzydzieści. Oglądamy ożywione obrazy z historii naszego miasta, dzieje rodziny Partyków, dzieje łódzkiej rodziny komunistów, ich sprawy tragiczne, wzruszające, bohaterskie. Niestety, autorka mimo całego niekłamanego autentyzmu, który zawarła w sztuce, zastosowała wiele uproszczeń i schematów; czarne postacie szczególnie są zbyt czarne, białe zbyt białe; szczególnie pierwszy akt po prostu denerwuje i nuży. Na pewno uproszczona i zwulgaryzowana została postać Zbigniewa (źle zresztą zagrana przez Zbigniewa Niewczasa), nieprzyjemnie brzmiał dla mnie akcent sierżanta Bidy, (doskonale odtworzonego przez Mariana Wojtczaka). Jakże ubogi był tekst Partyki w porównaniu z tym, czym obdarzono Partykową (świetnie odtworzoną przez Janinę Jabłonowską). Była Jabłonowska bardzo sympatyczna, prawdziwa i wzruszająca, i gdyby nie zbytnie podobieństwo do radiowej postaci Matysiakowej, rzekłbym, iż oglądałem wyjątkową kreację aktorską. Najlepsza okazała się jednak Teresa Kaluda jako Ewa. Ta aktorka potrafi zdobyć widownię, umie kreowanej postaci nadać cechy ludzkie i przyjazne.

Mimo doskonałego aktorstwa sceny w celi więziennej — czułem się trochę zażenowany jej wulgarnością tak nieharmonizującą z liryzmem pozostałych scen utworu.

A jednak nie wolno o „Kwiatach łódzkich" powiedzieć, że są nie udane. Finałowa scena jest rehablitacją nie tylko Ewy, bohaterki kroniki, komunistki wtrąconej do więzienia przez współtowarzyszy walki. Jest to także rehablitacja utworu Sowińskiej. Finał jakby pompuje krew do całego widowiska, wskrzesza martwe obrazy, nadaje im nowy sens, z banalnych czyni niebanalne, z naiwnych głęboko żarliwe. Wszystko w tym utworze nabiera nowego sensu, nawet scena rozstrzelania po tylekroć już eksploatowana — staje się naprawdę tragiczna i tragiczny staje się okrzyk „Moje dzieci tu wrócą, wrócą do Łodzi". Przypominamy sobie ten okrzyk, gdy wiemy już, że wrócą po to, aby znowu trafić do więzienia. Finał utworu, powiadam, każe zapomnieć o niedostatkach warsztatowych, o licznych uproszczeniach treściowych.

Jestem bowiem przekonany, że sprawa polskich komunistów, którym dane było przejść przez piekło udręk fizycznych i moralnych, którym czas błędów i wypaczeń odebrał prawie wszystko, co mieli najdroższego — partię, a wielu zabrał także życie — jest materiałem na wielką tragedię. Sprawy komunistów, to — moim zdaniem — największy temat naszych czasów. Bez zrozumienia psychiki komunistów, ich radości i klęsk, ich morale i tragedii — nie ma zrozumienia niezwykłych przemian, jakie dokonały się na świecie w naszym stuleciu.

Tym smutniejszy jest więc fakt, że tak rzadko można oglądać na scenie sprawy komunistów. Próba jaką dokonała Sowińska, próba utworu w pewnym sensie rozrachunkowego z przeszłością — powinna być powitana życzliwie. Dlatego pochwalić trzeba inicjatywę Ministerstwa Kultury i Sztuki, które utwór Sowińskiej zaprotegowało na łódzką scenę. Teatr Powszechny nadał jej piękną oprawę plastyczną, widać wielki wysiłek włożony w inscenizację. Muszę przyznać, że tym razem Roman Sykała jako reżyser i inscenizator zaskoczył mnie bardzo przyjemnie, dostrzegłem wiele pomysłów czysto teatralnych choć nie pierwszej świeżości. Scenografia Józefa Rachwalskiego była bardzo wyrafinowana, niekiedy jednak być może przerastała i przytłaczała tekst.

Z wykonawców, oprócz wspomnianych na wstępie, wymienię: A. Żukowskiego, Z. Płoszaja, A. Gamską, Z. Kozanowicza, A. Milewską, W. Skoczylasa, J. Rudnickiego, H. Tabórską, H. Pawłowicz, N. Szymańska. Wydaje mi się, że pod względem sztuki aktorskiej Teatr Powszechny staje się coraz bardziej interesujący, żałować należy, że to samo nie zawsze da się powiedzieć o jego repertuarze.

„Kwiaty Łódzkie" — Stanisławy Sowińskiej. Widowisko w dwóch częściach. Prapremiera w Teatrze Powszechnym.

„Kwiaty Łódzkie". Teresa Kaluda w roli Ewy
Fot. G. Puciato

„Niemcy" Kruczkowskiego w PTZŁ. Jerzy Staszewski (Sonnenbruch), Ewa Brok-Brzeska (Ruth) i Danuta Cwynarówna (Liesel) *Fot. A. Pasierbiński*

„Niemcy" w Teatrze Ziemi Łódzkiej

To chyba bardzo dobrze, że tym razem zerwano z przekonaniem jakoby prowincja podłódzka spragniona była jedynie starych kostiumowych ramot lub tanich komedyjek pseudoobyczajowych. PTZŁ sięgnął do poważnego repertuaru współczesnego, wystawił „Niemców" Leona Kruczkowskiego. Sztukę tę bardzo różnie możemy dziś oceniać pod względem formalnym, od czasów prapremiery minęło 12 lat — pewne jest jednak, że nie straciła ona nic na swej aktualności, problem „Niemców" jest wciąż żywy.

Spektakl w PTZŁ należy uznać za udany. Bardzo ciekawą sylwetkę prof. Sonnenbrucha stworzył Jerzy Staszewski, a Ruth — Ewa Brok Brzeska. Tych dwoje bardzo wyróżniło się w całym przedstawieniu, choć interesująca również była Dominika Bartosiewicz jako Berta, Kazimierz Wójcikowski jako Peters, January Krawczyk jako Hoppe i Zbigniew Szymczak jako Willi. Stosunkowo najsłabszą moim zdaniem, okazała się Danuta Cwynarówna w roli Liesel, Maria Leska jako pani Soerensen i Wiesława Grochowska w roli Mariki. Wydaje mi się, że siedział w roli i Tadeusz Kożusznik jako oficer Wehrmachtu. W epizodach dobrze się zaprezentowali: Kazimierz Jaworski, Eugeniusz Rawski, Barbara Olszańska.

Spektakl był starannie wyreżyserowany przez Czesława Staszewskiego, scenografia Antoniego Bystronia wydała mi się dość pomysłowa.

Sądzę, że podłódzkie miasteczka i wsie otrzymały przed stawienie jakiego było im od dawna brak, kawałek dobrej sztuki i dobrej interpretacji aktorskiej. „Niemców" w PTZŁ można także z czystym sumieniem polecić łódzkiej publiczności, a szczególnie łódzkiej młodzieży szkolnej, która przecież „Niemców" ma w lekturze.

Nie taję, że piszę to wszystko pod wpływem ostatnio obejrzanego w Operze Łódzkiej baletu „Fontanna Bachczyseraju". Co za koszmarne wrażenie! Ten monstrualny kicz w monstrualnym wykonaniu operowego zespołu. Przecież balet to wdzięk ruchów, ciał i twarzy zrytmizowanych melodią muzyki. A tutaj dzieje się wprost przeciwnie. I na dodatek — co za ironiczna przewrotność — wszystko to dzieje się w haremie, gnieździe wysublimowanego wdzięku i egzotycznej urody kobiecej.

Kiedyś byłem na „Fauście" — cierpliwości starczyło mi do drugiego aktu, po którym wyszedłem. A przecież nie można powiedzieć, żeby galwanizacja trupa, jakim jest opera, była w ogóle niemożliwa. Byłem przed kilku miesiącami na operze Masseneta o Don Kichocie w Belgradzie. Zniosłem to i nawet byłem oczarowany: właśnie melodią i tańcami. Byłem także przed kilku laty na narodowej operze węgierskiej Erkela „Bank-Banie" w Budapeszcie. Owszem, ładna i przyjemna. Nie mówię już o tym, co widziałem przed kilku laty i w dawnych przedwojennych czasach w Paryżu i we Włoszech, także w Wiedniu. No, ale po co sięgać do tak odległych i nobliwych wspomnień — wystarczą te zeszłoroczne z Opery Bałtyckiej na Wybrzeżu. Oglądaliśmy z okazji Zjazdu Literatów w Sopocie dwa balety: Ravela „Dafnis i Chloe" i Beli Bartoka „Cudowny mandaryn". Oczywiście treść — treść zwietrzała i do luftu (to znaczy do wyrzucenia za okno) — ale wykonanie! To wykonanie ratowało wszystko i dawało niejaką satysfakcję artystyczną, zresztą niemałej rangi!

Tak więc czasem galwanizacja trupa opłaca się. Gdzie indziej. Ale nie w Łodzi. W Łodzi tego trupa konserwuje się w całej jego pierwotnej i odrażającej postaci. Komu to jest potrzebne? Największemu środowisku robotniczemu w Polsce? Za ile? Za dziesiątki i setki milionów złotych mają rzesze robotnicze Łodzi oglądać zakonserwowanego trupa z czasów feudalnych? Kosztem zdrowej i normalnej gospodarki finansowej wszystkich pozostałych teatrów i scen łódzkich? Rodacy-łodzianie, ziomkowie mili moi, zastanówmy się, czy nie gonimy w piętkę? Po co nam tyle oper w kraju, w którym feudalizm nie zostawił żadnej godnej pamiątki, podczas gdy Włochy i Francja, kraje klasycznego feudalizmu, mają ich razem zaledwie pięć? Czy dla Łodzi nie wystarczyłyby gościnne występy lepszej i doskonalszej zawsze Opery Warszawskiej — dajmy na to — co kwartał przez tydzień lub dwa? Sądzę, że to zaspokoiłoby głód opero- i baletomanów łódzkich całkowicie, oszczędzając im nadto prowincjonalnych kiczów.

A więc, mili ziomkowie łódzcy, precz z operą! Łodzianie, nie jesteśmy przecież trupojadami!

MARIAN PIECHAL

Paszkwil M. Piechala drukujemy jako materiał dyskusyjny. Prosimy o wypowiedzi w sprawie — jak sądzimy — istotnej dla sytuacji kulturalnej naszego miasta

Specjalność firmowa: coś z dawnych dobrych lat — i po krakowsku.. A prócz tego i mała nowelka kryminalna.

Jest i trochę eksperymentalnej liryki

Czy wiesz co to jest „PIGWA"?

Zdjęcia:
WACŁAW
BILIŃSKI

Dramaty obyczajowe — niczym „Falkowskiej"

Oczywiście tematyka chłopska — jako że jesteśmy państwem przemysłowo rolniczym...

„Przekrój przez „Przekrój" — *to dowcipna parodia naszego ulubionego tygodnika. A czy w parodii „Przekroju" może zabraknąć Lucynki?*

JERZY DĄBROWSKI

OPERACJA „Wilcze stada"*)

Hans Ebert tylko kilka dni przebywał w Opolu. Czas spędzał na przechadzkach wzdłuż Odry i po miejscowym parku. Uważny obserwator mógłby zauważyć, że Ebert podczas swych przechadzek wzdłuż brzegu rzeki, najczęściej zatrzymywał się niedaleko śluzy — tak bywało przed południem. Natomiast po południu kierował swe kroki do parku, położonego na drugim brzegu rzeki. Tu siadywał niezmiennie na tej samej ławce i zaglębiał się w czytanie gazety. Opuszczając park, zwykle pozostawiał gazetę na ławce. Nic w tym dziwnego. Przeczytana gazeta była mu przecież już niepotrzebna. A, że pozostawioną gazetę zabierał w chwilę później jakiś przypadkowy przechodzień — to już należało odnieść raczej do dziwnego zbiegu okoliczności...

22 marca 1943 roku Hans Ebert wsiadł do pociągu, mając wykupiony bilet do Kostrzynia. W tym mieście zabawił trzy dni, podczas których dwukrotnie odwiedził miejscowy cmentarz. I tak się dziwnie złożyło, że w godzinę po odwiedzinach na cmentarzu gdzieś niedaleko, w pewnym mieście na wschodzie, pojawiała się na biurku pułkownika karteczka z kilkoma zdaniami. Oficer uważnie studiował treść tych kilku zdań, po czym zwykle zwoływał kilka osób do swego gabinetu i przez kilka godzin z nimi konferował...

NA PŁYWAJĄCYM WARSZTACIE

Barczysty mężczyzna w okularach, którego poznaliśmy podczas rozmowy z Ebertem w Opolu opuścił miasto w dwa dni po wyjeździe skoczka do Kostrzynia. Jako główny mechanik jednego z pływających warsztatów remontowych udawał się w planowany w dół Odry przez Opolski Zarząd Dróg Wodnych rejs. Po drodze zatrzymywał się w szeregu miastach-portach rzecznych. Zwykły porządek rzeczy podczas podróży, której celem był Szczecin.

Tu, po przybyciu, pływający warsztat naszego znajomego zacumowano obok bazy Kriegsmarine, na wyspie górnej. Przewidziany był kilkudniowy postój w celu zaopatrzenia się w paliwo, uzupełnienia części zapasowych itp. czynności, które zwykle następowały po dwutygodniowym rejsie. Kiedy codzienne czynności były już załatwione, główny mechanik wychodził na dłuższe spacery po mieście. Szczególnie upodobał sobie rozległy park, którego wieczorny nastrój zachęcał do... rozmyślań. Od czasu do czasu, podczas tych spacerów, główny mechanik przystawał, wyciągał z kieszeni notatnik, coś w nim zapisywał, by za chwilę podjąć znów przechadzkę. Za każdym razem, gdy opuszczał park, zatrzymywał się na krótko przed rozłożystym dębem. Opierając się jak gdyby od niechcenia o gruby pień, niespostrzeżenie dla kogokolwiek wsuwał niewielkie zawiniątko w jedną z licznych dziupli drzewa...

Nadszedł wreszcie czas powrotu do Opola. W dniu, w którym barka z pływającym warsztatem remontowym wypływała z portu szczecińskiego, do Szczecina przybył Hans Ebert.

WYŁANIA SIĘ JASNY OBRAZ

Opuśćmy na chwilę naszych dwóch wędrowców, którzy różnymi drogami, na przestrzeni dwóch tygodni, przemierzali drogę od Opola do Szczecina. Zobaczmy, co dzieje się na biurku pułkownika.

Sztabowa mapa z wyraźnie oznaczonym biegiem Odry. W dół biegu rzeki, aż do jej ujścia w morze, po obu jej brzegach wetknięte w mapę kolorowe szpileczki. Kolor każdej z nich odpowiada kolorowi jednej z wielu kartek, zalegających biurko, wokół którego stoją oficerowie.

— Proszę jeszcze raz przeczytać meldunki — zwrócił się pułkownik do siwiejącego majora. A ja — dodał pułkownik — kolejno będę zdejmował szpileczki...

Major sięgnął po kolorowe kartki, chwilę porządkował je, wreszcie zaczął odczytywać ich treść. Miał monotonny, bezbarwny zupełnie głos, mimo że to, co czytał...

— Brzeg. Stocznia remontowa barek rzecznych. Jedna hala montażowa, na placu dwanaście kiosków*) okrętów podwodnych.

Pułkownik wyjął zieloną szpilkę.

— Wrocław. Stocznia budowy barek i statków rzecznych. Dwie duże hale montażowe dla urządzeń dziobowych okrętów podwodnych. Znów kolorowa szpilka — tym razem czarna — znalazła się w ręce pułkownika.

— Głogów. Stocznia remontowa motorówek i barek rzecznych. Jedna hala montażowa dziobowych elementów kadłubów okrętów podwodnych.

Szpilka o czerwonej główce wyrwana została z mapy.

Monotonny głos majora wymieniał dalej: Nowa Sól... Krosno Odrzańskie... Słubice... Kostrzyń... Gryfino... Szczecin. We wszystkich tych miejscowościach znajdowały się małe, rzeczne stocznie remontowe lub budowy barek i statków dla żeglugi śródlądowej. We wszystkich tych miejscowościach budowano, lub montowano poszczególne zespoły dla okrętów podwodnych hitlerowskiej Kriegsmarine!

Meldunki Eberta i głównego mechanika nakładały się na siebie, tworząc jasny obraz niezwykle sprytnie przemyślanej akcji. Gdy major odczytał treść ostatniej kartki, ręka pułkownika, trzymająca kolorowe szpilki, wbiła je mocno w mapę, tuż przy napisie: Szczecin.

— Otóż tak — odezwał się pułkownik. To, czego szukały wywiady alianckie, a jak wiadomo, szukały bezskutecznie — odkryliśmy dzięki pracy naszych ludzi. Zakonspirowana produkcja najnowszych serii U-bootów, rozrzucona została wzdłuż Odry, i tam, w małych stoczniach, jak na ruchomym transporterze montowano poszczególne elementy okrętów podwodnych, przesyłając je kolejno na barkach do Szczecina. Tam, w Szczecinie następuje szybki montaż całości. Sprytnie się, szelmy, urządziły... Nie ma co. Ale też sprytniejsi byli nasi ludzie.

Pułkownik spojrzał z uśmiechem na zebranych.

— A teraz, szybciutko przygotować materiały dla sojuszników.

Rozpoczynamy likwidację. Operacja ma kryptonim: „Wilcze stada".

Gabinet pułkownika opustoszał.

* * *

Nad małymi portami rzecznymi wzdłuż Odry i nad samym Szczecinem raz po raz pojawiały się bombowce. Wybuchy bomb znaczyły miejsca ich akcji. Łuny pożarów objęły ciche, „spokojne", mało znane komu zakłady remontowe i stocznie rzeczne. Operacja „Wilcze stada" wypowiadała swe ostatnie słowo. Nastąpiła likwidacja ośrodków produkcyjnych niemieckich okrętów podwodnych. Zdezorganizowano produkcję, uniemożliwiono w dużej mierze szybką odbudowę seryjnej produkcji nowych serii U-bootów. Konwoje sojuszniczych okrętów mogły spokojniej przemierzać życiodajną dla frontu na wschodzie magistralę wodną na trasie atlantyckiej.

---

*) patrz początek w poprzednim numerze „Odgłosów".

*) kiosk — nadbudówka na okręcie podwodnym.

KRONIKA

SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

„PANIE MIKOŁAIU, SUKIENKI NIE MAJU" (XIII)

Zygmunt August uznał radę swego szwagra Mikołaja Rudego za słuszną i nie zgodził się na wysunięty przez sejmującą szlachtę warunek, żeby nie koronować Barbary.

Na radzie, jaka się odbyła w obecności króla na wieży zamku piotrkowskiego, zapadła uchwała, żeby każdy wojewoda wezwał posłów, którym przewodził, i oznajmił im, że wobec niezłomnej woli monarchy dalsze nalegania na zmianę jego postanowień są bezcelowe.

2 grudnia 1548 roku marszałek koła rycerskiego pożegnał króla w imieniu posłów i szlachta rozjechała się do domów.

Po odprawieniu w ciągu grudnia i stycznia sądów królewskich Zygmunt August wyjechał 5 lutego 1549 roku z Piotrkowa i 9 lutego przybył do Nowego Miasta, gdzie nastąpiło spotkanie z Barbarą.

„Szczęście i spokój zdawały się już uśmiechać stęsknionym małżonkom — pisze sentymentalny dziewiętnastowieczny historyk Baliński. — Same tylko niebo było zapewne świadkiem jak słodkie uczucia napełniały tkliwe serca tej pary".

Oficjalny wjazd do stolicy nastąpił 13 lutego ze zwykłą w takich wypadkach pompą, rozdawaniem z rozkazu królewskiego jałmużny ubogim i powitaniami królewskiej pary przez kanoników w katedrze na Wawelu.

Specjalnie wyreżyserowane było ponowne, niby oficjalne, spotkanie małżonków na Wawelu. Barbara czekała — jak się dowiadujemy z listów dworzanina królewskiego Pieniążka do bawiącego już w Wilnie Mikołaja Rudego — na męża w Chłodniku. Chłodniem nazywano altanę ogrodową, która dawała latem cień. Dziwny wydaje się wybór altany w lutym na miejsce spotkania.

Po tych ceremoniach Barbara znalazła się nareszcie na zamku królewskim na Wawelu zajmując dawne komnaty po królowej Bonie.

W Krakowie bawiła królewska para 9 dni, po czym Zygmunt August znużony uroczystościami dworskimi przeniósł się z żoną do rezydencji w Niepołomicach. „Serce tęskniło do ustronia — nie mogę oprzeć się chęci zacytowania sentymentalnego historyka, wspomianego już Balińskiego — gdzie by mogło daleko od wrzawy dworu i świata kosztować słodyczy wzajemnych wynurzeć pięknej małżonki".

Niestety, Barbara była chorowita, i jej dolegliwości mąciły radość małżeńskiej sielanki. „Przyjechawszy do Niepołomic na swój zwykła kamień przychorzeć raczyła" — dowiadujemy się z listów dworzan. Ona sama zawiadamia matkę o swej słabości, i to nie w liście własnoręcznym, lecz pisanym przez sekretarza Koszuckiego: „Albowiem nas kamień ruszył, iż nie tylko pisać, ale i ledwie leżeć możemy. „Kto wie, czy nie były to początki choroby, która w pół roku później dała o sobie znać jako choroba śmiertelna. Pomimo dolegliwości Barbara nie zapomina o swym wyglądzie zewnętrznym i prosi matkę przy sposobności o przysłanie „bielidła", jak nazywano w XVI wieku białą mączkę do bielenia twarzy.

Królowa prowadziła w tym czasie ożywioną korespondencję z bawiącym w Wilnie bratem Mikołajem Rudym. Z korespondencji tej dowiadujemy się różnych ciekawych szczegółów. Okazało się, że w czasie przebywania u boku króla na sejmie w Piotrkowie Mikołaj Radziwiłł Rudy ponosił duże wydatki reprezentacyjne. Skarży się siostrze w liście na swe kłopoty z powodu nadszarpniętego fortuny, użył charakterystycznego zwrotu z ludowej piosenki „Panie Mikołaju, sukienki nie maju".

Ponieważ małżonkowie wspólnie czytali wszystkie listy, także otrzymywane Barbarą, więc i Zygmunt August dowiedział się o kłopotach szwagra.

Ale takie wspólne czytanie korespondencji adresowanej do królowej musiało mieć swoje niedogodności, gdyż w jednym z listów Barbary do brata znajdujemy taki passus: „Zasię gdy W. M. masz co do nas tajemnego pisać, o czym by nie miał nikt inszy wiedzieć, jeno my sami, a zwłaszcza, gdy W. M. na te listy odpisujesz, które my ręką swą do W. M. sami piszemy, nie rad W. M. inaczej takich listów przesyłać, jedno w liściech Koszuckiego służebnika naszego, które je nam zasię oddawać będzie, my też, gdy co takowego będzie, przez jegoż ręce W. M. otrzymywać będziemy. Ta przyczyna tego jest najsłuszniejsza, którąśmy namienili, aby co takowego przed oczy jego królewskiej mości nie przyszło..."

Wynikałoby więc, że Barbara żywiła więcej zaufania do brata niż do męża, przed którym miała jakiś sekrety.

Przez długi czas po ostatniej dolegliwości „kamienia" nie słyszy się z królewskiego dworu żadnych skarg na zdrowie Barbary. Natomiast coraz częściej dochodzą do głosu utyskiwania na przykre usposobienie królowej. Cierpkość i „fukanie" Barbary na fraucymer odczuwają przede wszystkim panny, damy dworskie i urzędnicy dworu królewskiego. Ochmistrz Maciejowski skarży się, że królowa okazuje mu bez powodu lekceważenie i wyniosłą obojętność. Ojciec jednej z panien dworskich zamierzał nawet odebrać córkę z dworu Barbary. Sekretarz Koszucki pisze rozpaczliwe listy do Mikołaja Rudego, żeby wpłynął na siostrę, która zraża sobie wszystkich swym dziwacznym postępowaniem. Królowa szukała samotności, zamykała się przed najbliższymi, okazywała się nieuczynna odmawiając protekcji u króla. Kto wie, czy nurtująca Barbarę choroba nie zaczęła robić postępu potęgując jej skłonność do dziwactw.

ARCHIWUM STAREGO POLSKIEGO

JERZY WALEŃCZYK

„CZAS bez MARII"

Andrzej Brycht debiutował wierszami. Zanim dał się poznać jako prozaik i reportażysta — był poetą. Potem zamilkł. Ale przez długi czas był w opinii środowiska młodych jedynie poetą. Potem paralelnie zaczął uprawiać różne gatunki literackie, jakby chciał wypróbować swoich sił i możliwości. Paralelizm taki ma swoje ujemne i dodatnie strony. W każdym razie manifestuje szeroką skalę ewentualnych rozwiązań.

Ze zrozumiałą ciekawością biorę do ręki summę poetycką kilku lat Brychta „Czas bez Marii", wiersze przecież znane mi z pism. W tomiku jednak świecą one nieco innym światłem niż pozostawione w odosobnieniu, w izolacji.

Brycht należy do tych piszących, którzy swój „pamiętnik artysty" piszą z uporem, trzymając się określonego typu doświadczeń i eksploatując je. Inaczej — jak pisał kiedyś Błoński, mają swoją Marylę. Maryla Brychta to wojsko, więzienie, szpital. Ciągle obecna, powracająca, niezapomniana.

Oczywiście Brycht nie jest kronikarzem swoich doświadczeń. Przeżyte etapy stają się przesłankami dla ogólnych tez, dla próby odnalezienia się we współczesnym społeczeństwie, dla znalezienia formuły egzystencjalnej. Ciekawa jest długa ewolucja od ideałów Villona i championa boksu do pozycji katolickiego egzystencjalisty — bo taką drogę odsłania „Czas bez Marii".

Dlaczego jednak autor wystawia sobie dodatkowo „glejt stateczności" jakim jest „Przesłanie"? Czyżby szukał dodatkowego usprawiedliwienia? Cui bono? Dlaczego prezentuje nam swój specyficzny rodzaj konfliktu ze społeczeństwem, manifestując pojęcia winy i kary, uświadamiając sobie nadprogramowo ze względów estetycznych to, czego wyraz znajdujemy w innych poematach.

To bezużyteczne imprimatur jest ciałem obcym, a już wytyczanie frontów ideowych „nasz wróg jest ten sam, ten sam nasz przyjaciel" — brzmi deklaratywnie.

Brycht chce być zamknięty w formule historyczno-literackiej. Stąd opowiedzenie się za Villonem i pożegnanie Villona.

„Chcę zgubić dawne melodie,
nowy ton
Ze starych wydobyć słów".

Jesteśmy w kręgu oddziaływania Eliota. Stąd pojęcia pokuty, odkupienia. Poezja będzie odkupieniem czasu błędów, czasu winy. Zbiór, zdawałoby się, kokietuje niejasnym katolicyzmem. Tak będzie z tytułowym poematem, bo przecież Maria pełni funkcję dwojaką: świecką i religijną. Refreny będą więc nie tylko zabiegiem formalnym.

Najsłabszy jest cykl wierszy obejmujących „Anonimy". Jest on niezbyt kronikarski, nie przemyca ładunku ogólniejszych aspektów, są to wiersze jednowymiarowe, ich poetyka nie może udźwignąć ciężaru drastycznych doświadczeń, ich funkcję przejmuje proza Brychta. Cykl ten jest jednak niezbędną przesłanką dla zrozumienia „Bluesu nieskończonego", który uważam za najmocniejszy w tomiku. Jest to niejako kwintesencja tego c Brycht ma do powiedzenia, najbardziej unerwiona autoanaliza. Jest to niejako hymn współczesnego katolika do Boga, najmocniejszy, jaki znam ze współczesnej polskiej poezji katolickiej czy katolicyzującej. Hymn obfitujący przecież w elementy neopogańskie. To jednocześnie bilans doświadczeń poetyckich Brychta. Autor jest tu modernizatorem modlitwy, stąd poczucie pokrewieństw z Eliotem, i Audenem, na których Brycht się powołuje. Jest to jednak zbieżność elementów postawy, nie estetyk.

Miejsce na którym Brycht nas opuszcza jako poeta, to droga ewolucji do pozycji

Dalszy ciąg na str. 10

„CZAS bez MARII"

Dalszy ciąg ze str. 9

współczesnego ewangelisty. Na tym urywa się metamorfoza niedoszłego championa boksu. Pozornie niemożliwa, a jednak zdeterminowana konkretnym losem autora.

„Blues nieskończony" to diferencja specifica Brychta utwór do którego się wraca. „Blues" jest żywy, co wynika z siły uczucia, odwagi mówienia expressis verbis o pewnych rzeczach, mimo pewnej automatyzacji form wyobrażeniowych, zamiłowania do anafor, mimo znanego skądinąd rynsztunku formalnego. Nie chodzi nawet o jednoznaczną obecność, na początku, „Kopca" Różewicza. Interesująca jest tu energia wyrazu z interpolowaną dyskretnie mgiełką mistyczną, która urasta, powtarzana do przemilczenia, za którym kryje się adresat — Bóg.

Stąd krok do apostrofy:

„Na nowo uczcie się testamentu".

Brycht jest sensualista. Spotykamy więc często zabieg materializowania abstrakcji. Buduje poemat na zasadzie dodawania elementów do elementów, jest więc antypointylistyczny, lubi panteistyczną dekorację, stąd przemieszanie bardzo różnych rzeczowników, najczęściej osadzonych w metaforze dopełniaczowej, nadużywanej, jak we wierszu „Bird" — pseudomodlitwie do jazzu.

Przy całej „męskiej postawie" Brychta częstych synonimach siły, bardzo natrętny jest nurt sentymentalny i jękliwy. To jest aspekt, który najmniej mi się podoba w tych wierszach. Oto rejestr kombinacji formalnych ze słowem „łza". „Łza przewraca domy w mgłę", a teraz łez się nie wstydzę", „ułuczona z popiołu codziennych łez", „świt ma kolory łez", „czy wolno mi rodzić łzy", „czy mogę oczekiwać radości od takiej małej martwej łzy", „każde (dzieci) w swojej własnej łzie", „porosłem w łzę", „za wybojami łez", „sucha gałąź łez", „szybki łez", „żużle łez", „zachrypły od łez", „ponad sztormem łez", „gest pielęgniarza przez łzę".

Oczywiście Brycht nie cierpi na jakieś aberacje. To maniera skądinąd znana, przejęta. Nie dominuje w tomiku, ale jest dostatecznie uporczywa, aby irytować.

Nie najlepszej próby jest również zaskakująca elokwencja, której sporo jest w tomiku, razi również tu i ówdzie wciskający się banał.

Brycht nie jest kolporterem nowości formalnych ani odkrywcą nowego piekła. „Czas bez Marii" nie jest Wielkim Testamentem, wnosi jednak ton własny, głos jednego z pokolenia 56, jakkolwiek należy go rozpatrywać w osobnych kategoriach, a kompensatę niedostatków znajdujemy w bagażu doświadczeń życiowych autora bez precedensu w młodej poezji polskiej. Warto podkreślić, że okładka Barbary Niedzielskiej jest bardzo gustowna i w pełni zasługuje na uznanie.

(Andrzej Brycht „Czas bez Marii" Instytut Wydawniczy Pax 1961).

JERZY WALEŃCZYK

ZBIGNIEW

opowiadanie z cyklu p. t. „Imiona własne"

RYSZARD KLIMCZAK

Słowo: akcja miało magiczną siłę. Rozbiegło się w batalionie z szybkością karabinowego pocisku. Dotarło aż na skraj lasu, jak by je echo samo niosło, do placówek ubezpieczających partyzancki obóz.

To jeszcze nie był rozkaz. To była batalionowa plotka, który znudzony marszami, bezczynnymi postojami i demoralizującym nierobstwem czekał na hasło: „Marsz na Kielce!".

Dowódca wzruszył ramionami. Śmiać się chce. Czy to ich wyobraźnia? Pragnienia? Do wieczora plotki nie dementował.

W obozie zawrzało. Nawet stara partyzancka wiara, z pierwszej kompanii, której byle co przecież nie imponowało, była podniecona.

Co bardziej pilne partyzanckie ręce uzbroiły się w szmaty i wyciory. Pucowały broń. „Mauzery" nie stawały się przez to bardziej szybkostrzelne. „Steny" nie stały się bardziej celne, ale błysnęły czystością.

„Steny"... kowalska robota. Rozkalibrowane wyloty luf nie chciały nosić daleko pocisków. Za nim się tu znalazły, przyniesione na skrzydłach RAF, przebyły już afrykańską kampanię. Graty. Były jednak znakomicie hałaśliwe. I niebezpieczne. Konstruktor zapomniał o bezpieczniku.

Zbigniew czyścił amunicję. Wolną od piasku i patyny sprawniej do zamka przesuwa podajnik. To ważna rzecz. Amunicja nie może robić niespodzianek. Czyścił i gwizdał.

— Wybierasz się na wojnę?

Zbigniew schylony nad pałatką, grajdał palcami w rozrzuconych nabojach. Nie przerwał czynności. Uniósł głowę, spojrzał na kwatermistrza.

— Yhy.

— Pluton gospodarczy zostaje na miejscu.

Zbigniew znów spojrzał spod oka na sierżanta.

— W gospodarczym jest jeden dobry erkaemista.

— To przechwałki.

— Zobaczymy.

— Takiś pewny?

— Yhy.

Kwatermistrz odszedł. Lubił tego chłopaka. Zadziorny. Odważny. Coś przeskrobał i za karę przebywał w gospodarczym. Strugał ziemniaki. Z nienawiścią. Wolał strzelać.

Wieczorem skończyły się plotki i domysły. Dobrano ludzi z całego batalonu w sile dwóch kompanii. Jedna kompania miała pozostać na miejscu. Ochraniać sztab i podpierać „zrzutowe konie". Ten ironiczny przymiotnik odnosił się w ich gwarze do najbardziej chudych szkap. A iść chcieli wszyscy. Najbardziej ci, którzy nie mieli jeszcze okazji wąchać prochu.

Poszli. Nie na Warszawę, nie na Kielce lecz na Janików.

Mała mieścina. Parę domków, folwark, jakiś kościół, jakiś cmentarz. Szli długo. Albo droga się tylko dłużyła niecierpliwym.

Zbigniew się omylił. Nie poszedł. Nie zabrali dobrego erkaemisty. Dobrych erkaemistów było więcej. Nie wszyscy odbywali karę w plutonie gospodarczym.

Na janikowskim kościele zegar wydzwaniał północ. Zeszli jarem w kierunku miasteczka. Potem chyłkiem przebiegli pole wprost przed folwark wtulony w ogród. Gdzieś odezwał się puchacz. Z zegarem, na dwa głosy, przypominali o czasie, który ucieka.

W folwarku miała stać kompania Luftschutzu i obsługa jakiejś meteorologicznej stacji polowej czy radiolinii.

Zalegli w polu. Pluton zwiadowczy zaprowadził przewodnik pod mury folwarku. Po drodze spłoszyli z krzaków parę kochanków. Przestraszeni uciekali polem. Tu natknęli się na partyzantów. Obrzucono ich kąśliwymi żartami. Kawaler znikł. Ani się za lubą obejrzał.

Stęknął „piat". Raz, potem drugi. To był sygnał do rozwinięcia tyraliery. Partyzanci otoczyli podwójnym pierścieniem budynek folwarku. Z czworaków nikt się nie wychylił.

Z budynku posypały się gęsto strzały obrony. Napastnicy zaczęli siać ogniem karabinów po oknach i dachu.

Z lewa odezwała się broń maszynowa.

— Druga linia nie strzelać! — wrzasnął ktoś raniony w tyłek.

Kto jednak powstrzymą ochocze palce, kurczące się i rozkurczające na spuście karabinu?

W przodzie jakieś nieporozumienie. Przewodnik źle poprowadził pluton zwiadowczy. Teraz zachodzą budynek z przeciwnej strony. Od frontu. Przewodnik gdzieś się zgubił.

„Piat" stęknął po raz trzeci. Wejście jak czarna otchłań stoi otworem. Pył, gruz w opętanym kołowrotku spada na ziemię.

Z górnych pięter folwarku wali strumień stali po nacierających.

Ten z lewego skrzydła grający bergman szkopski ustawicznie nęka. Jak zdołali się wydostać z otoczonego budynku?

Cała lawina świetlnych pocisków spada na lewe skrzydło partyzanckiego oddziału. Nie pozwala im się ruszyć z miejsca.

Ile to już naboi wystrzelano? Po jednej i po drugiej stronie. Tylko że partyzanci muszą oszczędzać pociski. Strach nie pozwala im teraz myśleć o oszczędności.

Niemcy strzelają skutecznie. Nie pozwalają się ruszyć zaległym plutonom.

Dowódca drugiej kompanii zupełnie stracił głowę. Nie wie co robić.

— Wycofać się! Wycofać się!

Partyzanci cofają się w nieładzie. Jedni skokami drudzy czołgają się tyłem.

Skupili się pod krzakami ogrodu.

Na tę całą bezradną grupę wpada porucznik Krzyk.

— Czterech ochotników do mnie! Zlikwidować erkaem nieprzyjaciela!

Chwila ciszy. Ten erkaem jest groźny. Groźny z daleka. Tymbardziej z bliska.

Cztery postacie skupiają się wokół porucznika. On poprowadzi.

Strzelaniną natęża się. Po chwili cichnie.

Terkocze tylko jeszcze ciągle ten z lewa, w świetnej pozycji ogniowej, bergman.

Wreszcie i on ucichł.

Dwóch Niemców zabitych. Jeden wzięty do niewoli. Erkaem zdobyty. Pluton zwiadowczy wyprowadza z obory trzy krowy.

Odmarsz. Zadanie niemal wykonane. Trzeba się śpieszyć. Niebawem świt. Zbyt długo marudzili.

Wszystkiemu winien przewodnik. Zaskoczenie się nie udało.

Śpiesznym marszem sunie kolmna zbrojnych. Wieś. Pole. Zagajnik. Znów wieś. Pole. Oddział goni blask nieba pojaśniałego na wschodzie.

Prędzej. Prędzej. Biegną.

Nareszcie. Świetlisty promień słońca pogłaskał ziemię gdy oddział spod Janikowa zatrzymał się na skraju lasu. Ten las już bezpieczny.

Partyzanci padają zmęczeni na ziemię. Forsowny marsz, przemieniony na ostatnich kilometrach w morderczy bieg, w ucieczkę przed blaskiem dnia, wypompował siły.

Ekwipunek bojowy ciężki. Siły — znikome. Nocą normalni ludzie nie jadają. Ale normalni ludzie w nocy śpią. Partyzanci są głodni i zmęczeni. Za nimi nikt łóżek nie nosi. Łóżka nie oczekują ich także w obozie.

W obozie oczekuje ich dowódca i jego gniew. Tylko, że jeszcze teraz o tym nie wiedzą.

Zadanie nie wykonane. Wystrzelano pięćdziesiąt tys. sztuk amunicji. Skandal. Amunicję trzeba oszczędzać. W walce? Łatwo to mówić.

Odpoczynek nie był długi. Wracają do obozu z opuszczonymi głowami. Nie ma radosnego podniecenia. Akcja nie była udana. Każdy to czuje. Wprawdzie jeden jeniec, dwóch Niemców zabitych. To na pewno. Ilu rannych — niewiadomo. Swoich — czterech. A, jeszcze trzy krowy. Furaż na trzy dni dla całego batalonu. Gdyby jednak nie wdali się w tę zbyt długą strzelaninę Panu Bogu w okno mogliby uprowadzić całe stado. Mieliby na to czas. Kto wie. Zarcia by wtedy starczyło i na trzydzieści dni.

Do obozu weszli bez humorów. Na zapytanie oczekujących kolegów odpowiadali burknięciem... Rozleźli się po lesie jak pluskwy. Zapadli w głęboki sen.

Jeńca pilnuje pluton gospodarczy. Patrzą nań z zaciekawieniem i bez nienawiści. Tylko Zbigniew krąży, czai się koło bosego sołdata jak kot.

Hitlerowiec ma przerażoną twarz i szeroko rozwarte oczy. Stoi tylko w gaciach i koszuli. Sukienny mundur dostał się najwaleczniejszemu, buty mniej walecznemu partyzantowi. Za mało tego jeńca. Walecznych było znacznie więcej. Hitlerowiec ma przerażoną twarz. Dlatego, że jest sam. Tam, przy plującym stalą erkaemie, nie miał przerażonej twarzy. On był też waleczny.

Wszystko już wyjawił na przesłuchaniu. Wszystko co miał do powiedzenia. O czym wiedział i czego się mógł domyślać. Te dane nazywają się tajemnicą wojskową.

W folwarku nie było kompanii. Był pluton, ale dobrze uzbrojony i zabarykadowany.

Podał nazwę jednostki i zadanie. Teraz czekał na wyrok. Rozumował słusznie choć żywił iskrę nadziei. Gdzie w tych warunkach trzymać jeńców? To nie jest wojsko, które respektuje międzynarodowe konwencje. Przypomniał sobie, że i Niemcy tych konwencji międzynarodowego prawa nie honorowali. Choć warunki mieli.

W pobliżu kopano rów. Domyślał się dla kogo. Zaczął płakać.

— Kto na ochotnika wykona wyrok?

Nikt się nie kwapi. Partyzanci nie lubią tego. Nie lubią strzelać do tarczy. To dobre w koszarach. Nie na wojnie. I to takiej wojnie.

Zbigniew zameldował się porucznikowi. On. Chce się odegrać za to że nie wzięli go do akcji. Jego — takiego dobrego erkaemistę.

Porucznik podarował mu jeńca. Ale sam nie chciał patrzeć. I on tego nie lubi.

Zbigniew pchnął Niemca w kierunku rowu. Rów był płytki. Niemiec się nie opiera, idzie jak baran.

Zbigniew każe mu wejść do rowu. Chce go sobie ustawić jak do fotografii. Kołem obległi ich partyzanci. Patrzą. Ciekawi widowiska.

Hitlerowiec nie chce wejść do rowu.

Zbigniew zaklął. Dopadł w furii Niemca. Żelazną kolbą „Stena" zamierza w przeciwnika. Uderzył. Bluznęła seria pistoletu. Zbigniew zwalił się z nóg. Tuż obok Niemca. Hitlerowiec z rozwartymi oczyma przyglądał się scenie. Zamachał rozpaczliwie rękoma.

— Nein. Nein. Das hab ich nicht getan! Das hab ich nicht getan!

Koledzy patrzą ze zgrozą.

— To on. To on go zamordował.

Niemiec patrzy w przerażeniu pod swoje stopy. Ich nagość przykryło ciało Zbigniewa.

Sypią się kule.

Hitlerowiec miękkim skłonem wali się w rów. Starczyło rowu na dwa ciała. Nie wiele trzeba ziemi aby go całkiem wypełnić.

KOMUNIKAT

Wojewódzki Ośrodek Instrukcyjno Metodyczny Łódzkiego Domu Kultury podaje do wiadomości, że zgłoszenia udziału w IX Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim, organizowanym jak co roku przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Oświaty, Centralną Radę Związków Zawodowych i Związek Literatów Polskich, składać należy do dnia 15 lutego 1962 r. w niżej podanych punktach konsultacyjnych:

Bałuty — Dzielnicowy Dom Kultury, ul. Zgierska 71.
(punkt czynny w niedzielę, godz. 10,00—12.00, w czwartki godz. 18.00—20.00)

Śródmieście — Łódzki Dom Kultury, ul. Traugutta 18,
(punkt czynny: w poniedziałki godz. 17.00—19.00, i piątki godz. 17.00—19.00)

Polesie — Biblioteka im. L. Waryńskiego, ul. Gdańska 102
(punkt czynny: wtorki godz. 15.00—17.00, piątki godz. 11.00—13.00)

Górna — Międzyzakładowy Dom Kultury Włókniarzy, ul. Siedlecka 1,
(punkt czynny: wtorki godz. 10,00—12,00, piątki godz. 17,00—19,00)

Widzew — Dom Kultury im. L. Waryńskiego, ul. Przędzalniana 68,
(punkt czynny: środy godz. 17,00—19,00, soboty godz. 16,00—18,00)

Młodzieżowy Dom Kultury, ul. Moniuszki 4 a,
(punkt czynny dla młodzieży szkolnej w poniedziałki, środy, czwartki, piątki godz. 15,30—18,30)

Eliminacje dzielnicowe i ogólnołódzkie odbędą się w marcu i kwietniu br. zgodnie z regulaminem konkursu.

Punkty konsultacyjne udzielają szczegółowych informacji dotyczących repertuaru oraz prowadzą pośrednictwo w zakresie doboru i interpretacji tekstów.

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka historyczno-literacka. Trzeba mianowicie odgadnąć wiek wymienionych niżej postaci. Zagadka nie należy do specjalnie łatwych i może trzeba będzie poszperać w encyklopediach. A więc:

1. Ile lat miał Artur Rimbaud gdy stworzył słynny „Sezon w piekle"? a) szesnaście? b) trzydzieści dwa? c) dziewiętnaście?

2. Ile lat miał Ludwik Waryński gdy organizował „Proletariat"? a) dwadzieścia sześć? b) trzydzieści dziewięć? c) osiemnaście?

3. Ile lat miał Stanisław Staszic w chwili śmierci a) czterdzieści dziewięć? b) pięćdziesiąt osiem? c) siedemdziesiąt jeden?

4. Ile lat miał Mozart gdy zaczynał dawać koncerty? a) jedenaście? b) sześć? c) dwadzieścia jeden?

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy".

Rozwiązanie z nr 48

Ludwik Hirszfeld — medycyna. Kazimierz Prószyński — kinematografia. Karol Olszewski — chemia. Nagrodę otrzymuje p. Barbara Sokólska, Łódź, ul. Nowotki 3-20.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-70 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 263 1.. A 4

Parę gorzkich uwag

Nikt by nie zauważył

Od czasu do czasu napada człowieka nostalgia i wtedy patrząc na mały ekran zastanawia się, co też za pośrednictwem telewizji widzowie naszego kraju dowiadują się o Łodzi?

Kiedy bez mała sześć lat temu uruchamialiśmy stację telewizyjną, kiedy prasa toczyła boje o nadajnik, o wyposażenie studia, o budynek i pomieszczenie dla redakcji, jako argumentów używało się wtedy stwierdzeń, że Łódź to wielki ośrodek filmowy i teatralny, miasto paru wyższych uczelni, stolica polskiego włókna, miasto o tradycjach rewolucyjnych, wreszcie poważny ośrodek twórczy skupiający literatów, muzyków, plastyków... To wszystko miało poprzez mały ekran emanować na kraj, przynosząc nie tylko chwałę miastu, zbliżając je jakoś do każdego telewidza, ale również w określony sposób wzbogacając program ogólnopolski TV.

Były w ciągu tych pięciu lat okresy że Łódź nadawała w programie ogólnopolskim reportaże przy pomocy wozu transmisyjnego. Pamiętamy niezły reportaż z huty „Hortensja" w Piotrkowie, nie doszedł ze względów technicznych do skutku reportaż z kopalni rud w Łęczycy, ale podejmowanie tych tematów świadczyło o ambicjach ośrodka. Były też transmisje z łódzkich teatrów. Dziś jakoś o tym zapominamy. Jeśli teatr — to Warszawa albo Katowice, jeśli reportaż — to samo. Nie jestem pewien, czy winę za ten stan rzeczy ponosi tylko kierownictwo telewizji warszawskiej, bo nie wiem czy potrafiliśmy zaproponować programowi ogólnopolskiemu coś ciekawego z naszego miasta.

Ktoś powie, mój Boże, a co tu jest ciekawego? Odpowiem, że są pracownie uczonych, są laboratoria wyższych uczelni, są ciekawe zakłady włókiennicze, operujące precyzyjnymi maszynami. To nie tylko bawełna, w Łodzi robimy i elanę i misternie tkane pończochy, robimy swetry, dzianinę, gramofony stereofoniczne, zegary, a w Pabianicach poszukiwane na całym świecie szynki „Krakus"... Mamy muzeum włókiennictwa, muzeum ruchu robotniczego, mamy w Muzeum Sztuki największą galerię malarstwa nowoczesnego. Dlaczego np. doc. dr. Jan Białostocki nie mógłby jednej audycji poprowadzić z Łodzi? A tradycje literackie miasta? Miasta Reymonta i Tuwima? A dzieje łódzkiego teatru? A w końcu film? Czy sam magazyn „Klaps" załatwia sprawę czy zaspokaja całą żądzę wiedzy o aktualnej sytuacji w naszym filmie, o tym co się dzieje w jego stolicy, którą przecież jesteśmy?

Nasuwa się jeszcze jedno pytanie: w jakim stopniu łódzka telewizja korzysta z łódzkich piór w tworzeniu programu? „Szopka łódzka" Ryszarda Marka była świetnym dowodem, że miasto nasze grupuje wiele talentów. Tylko, że Ryszarda Marka telewizja wcale nie odkryła, od dawna pracuje on (oni) na eksport dla scen stolicy.

Niepokojący jest też fakt nie włączania się do tworzenia programu telewizyjnego naszych radiowców z ul. Narutowicza i współpracujących z radiem autorów. A przecież nie można tu mówić o braku talentów, skoro co miesiąc idzie w ogólnopolski eter i „Program z dywanikiem" i „Wesoły autobus", idą koncerty, słuchowiska i reportaże... W telewizji prawie nikogo z radia nie spotkasz. W telewizji oczywiście łódzkiej, bo warszawska korzysta z radiowych „fachmanów" pełną garścią.

Coś w tym musi być? Ale co? Oto jest — jak powiada Hamlet — pytanie. Dodać wypadnie, że na razie „reszta jest milczeniem", a Łódź na antenie ogólnopolskiej wygląda niestety mizerniutko. I gdyby nie robione od czasu do czasu dobre spektakle teatralne (ze studia), gdyby nie ambitne audycje młodzieżowe, Warszawa mogłaby nam naprawdę zlikwidować studio i nikt nawet by tego nie zauważył...

(aw.)

Tadeusz Worontkiewicz

Tadeusz Worontkiewicz, jeden z najbardziej utalentowanych realizatorów telewizji łódzkiej. Do TV trafił prosto z Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, ma na swym koncie wiele ciekawych spektakli, ostatnio prezentował nam „Szopkę Łódzką".

JULIETTE GRECO...

...pojawia się na naszych małych ekranach w najlepszym wypadku w postaci taśmy magnetofonowej komentowanej przez Lucjana Kydryńskiego. Tymczasem telewizja francuska (w jakimkolwiek stopniu nie byłaby skomercjalizowana) ma w tej mierze nieco większe możliwości i — korzysta z nich.

Pozostaje zazdrościć, no i czekać cierpliwie tych pięknych czasów, kiedy będziemy na stałe łączyć się z programami wszystkich europejskich i nie tylko europejskich państw. Sportowcy przecierają nam w tym względzie drogę; ostatecznie nasz zakopiański FIS w ramach Eurowizji i Interwizji będzie odbierało już piętnaście telewizji.

2 dowcipy o TV

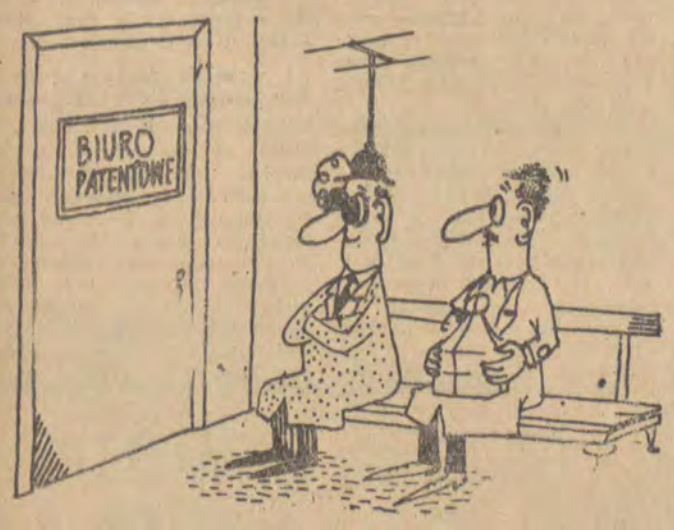

Bez podpisu

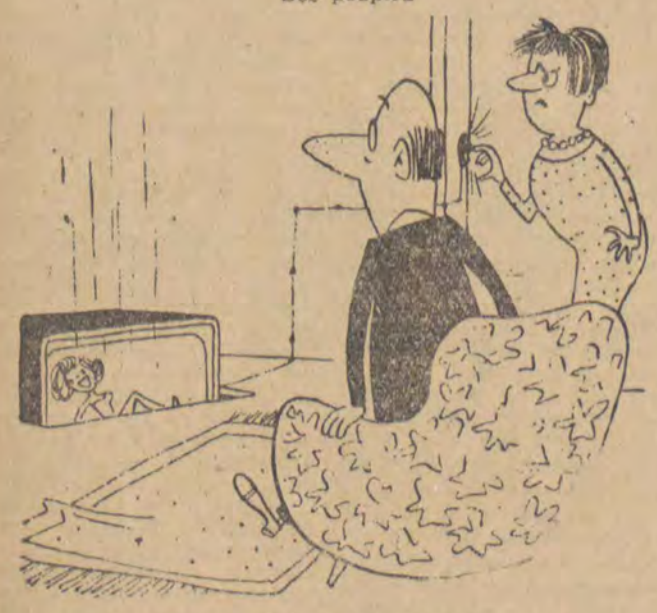

— Tomaszu, to nie dla ciebie!...

XI MUZA CZY JESZCZE NIE?

Miesięcznik „Cahiers du Cinema" zamieścił przed kilkoma miesiącami znamienny artykuł Jacquesa Mourgeron pt. „Renesans znaku", w której to publikacji obok konkretnego ataku na aktualną sytuację w telewizji francuskiej, znajdujemy cały szereg pesymistycznych uogólnień.

Telewizja — powiada autor — nie ma jak dotychczas nawet określonej nazwy, dotychczasowa nie mówi bowiem nic o naturze samego widowiska. Nie jest też jasne, czym w ogóle ma być telewizja: przede wszystkim środkiem wyrazu, czy też środkiem przekazywania?...

Pionierzy telewizji nie mają w sobie tego zapału, który kiedyś ożywiał pionierów filmu, może dlatego, „że nikt nie decyduje się dotąd nazywać telewizji „XI Muzą". Telewizja, „więzień swojego pokolenia", jest przede wszystkim wehikułem propagandy i informacji, książką telefoniczną, rejestrem aktualności; nie wierzy sama w siebie...

TELEwizja

W perspektywie - wymiana aż trzech programów TV

W chwili obecnej główna linia radiowa przystosowana do transmitowania programu telewizyjnego, prowadzi z Katowic przez Łódź i Warszawę do Gdańska (z odchyleniem do Kaliningradu) — pozwala ona na wymianę jednego tylko programu, ale z możliwością szybkiej zmiany kierunku.

Urządzenia zastępcze, prowizoryczne, ustawione są natomiast na trasach: Katowice — Wrocław (połączenie z NRD i Czechosłowacją), Wrocław — Poznań, Poznań — Szczecin, oraz do Bydgoszczy i Olsztyna. Na tych trasach zmiana kierunku transmisji jest już bardziej kłopotliwa i wymaga znacznego nakładu czasu.

Do końca bieżącego planu pięcioletniego na wszystkich trasach zamiast urządzeń przenośnych zamontowane zostaną nowoczesne urządzenia linii radiowych typu stacjonarnego, które połączą ośrodki TV w jeden system, przy czym każda stacja będzie mogła w każdej chwili przejść z odbioru na nadawanie.

Zbudowana zostanie również oś linii radiowych: Gdańsk — Warszawa — Łódź — Katowice, oraz Łódź — Poznań — granica NRD, pozwalająca w przyszłości na transmitowanie aż trzech programów telewizyjnych wewnątrz kraju, oraz na regularną wymianę z zagranicą.

W obronie „Kobry"

Dyskusja o Teatrze Popularnym TV, jaką rozpoczął na łamach „Radia i Telewizji" Adam Ostrowski — trwa. W jednym z ostatnich numerów zabiera głos Andrzej Wróblewski, zahaczając przy okazji o sławetną „Kobrę".

.....Dlatego też sądzę, że teatr popularny stworzyć trzeba będzie kosztem innego programu, który musi mu oddać czas, studio, fundusze. Bardzo bym jednak nie chciał, by przy tych cięciach pierwsza poszła pod nóż „Kobra" — bo ostatnio często się o tym wspomina.

„Kobra" zrobiła oszałamiającą karierę, sięgnęła po rangę sztuki masowej, stała się konkurentką innych widowisk publicznych. Doszło do tego, że żaden przewidujący organizator nie urządza w czwartek najbardziej nawet atrakcyjnej imprezy, wie bowiem, że poniesie klęskę finansową. Telewidzowie, stanowiący znaczną część publiczności, siedzą po prostu tego wieczora w domu i parą koni ich stamtąd nie wywleczesz. Jeśli więc „Kobra" ma dziś milionową publiczność, musi to być symptomem olbrzymiej potrzeby tego rodzaju rozrywki i likwidowanie jej byłoby szkodliwe. Zgadzając się z zarzutami, które wobec niej wysuwa krytyka, nie można jednak nie szukać innych wyjść, które, choć trudniejsze, dadzą na pewno profit w postaci zadowolenia telewidzów. Byłoby bowiem lekkomyślnością ograniczanie liczby widowisk „Kobry" zamiast starania się o poprawę jej poziomu. Rozrywka zajmuje przecież coraz ważniejsze miejsce w życiu współczesnego człowieka."

„KOBRA" łódzkiego autora idzie dziś z Poznania

Telewizja poznańska nada dziś (tj. w czwartek 1 lutego) o godz. 21.05 widowisko sensacyjne pióra łódzkiego autora, a przede wszystkim reżysera, Jerzego Waldena — zatytułowane „Imieniny sędziego Borsza".

Reżyseruje Henryk Drygalski.

O czym donosimy z satysfakcją, dziwiąc się jedynie nieco, dlaczego łódzki autor nie pomieścił się w łódzkim programie, mogąc zresztą spektakl sam przy okazji wyreżyserować — wówczas wszystkie ewentualne pochwały bądź przygany trafiłyby dopiero pod właściwy adres...

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 1 LUTEGO

11.00 — Program dla szkół (dla klas VI), historia. Tytuł: „W Krakowie, Poznaniu, Zamościu". (W). 11.30—17.25 — Przerwa. 17.40 — Program dnia (Ł. lok.). 17.45 — Program dla dzieci: 1) „Miś z okienka". 2) „Opowieść o pingwinach" film krótkom. prod. radz. (W). 18.25 — „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 18.55 — Utwory fortepianowe w wykonaniu Haliny Tokarczykówny (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Narodziny władzy" — program dokumentalny K. Lubelczyka (W). 20.35 — „Rozmowy o programie" (Ł. lok.). 21.05 — Teatr „Kobra": „Imieniny sędziego Borsza" — sensac. widow. TV Jerzego Waldena. Reżyseria — Henryk Drygalski (Poznań). 22.15 — Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 2 LUTEGO

16.50 — Program dnia i program tygodnia (Ł. lok.). 17.05 — Program tygodnia (W). 17.25 — „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 17.55 — „Baedeker poznański" (Poznań). 18.25 — „Znak Zorro" — film seryjny prod. USA (W). 18.55 — Wszechnica TV: „Niels Bohr" — program z cyklu: „Wielcy fizycy" (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Złote czasy zacnego króla Karola" — komedia G. B. Shawa w tłumaczeniu Floriana Sobieniewskiego. Transmisja z sali PWST w Warszawie. Reżyseria — Władysława Krasnowieckiego (W). 22.30 — Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 3 LUTEGO

10.00 — Program dla szkół: biologia—z cyklu „Człowiek", temat: „Na zdrowie" (W). 10.30 — Przerwa. 16.55 — Program dnia (Ł.) 17.00 — Klub Myszki Miki (W). 17.45 — Program dla dzieci: 1) A co dalej. 2) Teatrzyk „Violinek" (W). 18.55 — Porozmawiajmy (W). 19.00 — Pegaz (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Uwaga, lawina" — program rozrywkowy z Pragi. 21.25 — PKF (W). 21.35 — Ostatnie wiadomości (W). 21.40 — „Dom na bagnach" — film fab. prod. USA dozw. od lat 16 (W).

ODGŁOSY tygodnia

MODA i PLANOWANIE

Gdzie diabeł nie może tam babę pośle. Nie wiemy, kto nasłał modę na nasze planowanie, ale, że wynikają z tego raz po raz nie dające się opowiedzieć kłopoty — to pewne.

Tak jest i w dziedzinie planowania barwników dla potrzeb przemysłu włókienniczego. W myśl ogólnych założeń przemysł obowiązany jest złożyć zamówienia na określone rodzaje barwników (w znacznej mierze importowanych) na 6 tygodni przed każdym kwartałem. W tej sytuacji, nie znając najczęściej jeszcze aktualnych wymagań i zamówień handlu producenci zamawiają barwniki w ciemno, w oparciu o stan zużycia minionego kwartału.

Rezultat? Szkoda mówić i pisać. Wystarczy przejrzeć pisma wysłane przez Zjednoczenie Przemysłu Bawełnianego do „Chemicoloru", błagające pod koniec każdego kwartału o uzupełnienie owych „na oko" wystawianych zamówień aktualnymi i naprawdę potrzebnymi barwnikami.

W tym roku może być jeszcze gorzej. Zamówienia na barwniki na I kwartał br. zostały sporządzone w listopadzie ub. roku (w myśl wytycznych w oparciu o zużycie, jakie zanotowano w II półroczu ub. roku), w którym wszechwładna moda lansowała kolory łagodne, pastelowe. W tym roku ma nastąpić zmiana i w miejsce kolorów pastelowych krzykiem mody mają być kolory intensywne, jaskrawe. Tak przynajmniej anonsuje specjalny biuletyn Biura Wzornictwa Przemysłowego MPL.

Strach pomyśleć, co w związku z tym czeka nieszczęsnych producentów z fabryk przemysłu bawełnianego!

SAM - o epitafium

SAM się nazywał... sam się wykończył... a chęci, biedak miał jak najlepsze...

Takie epitafium proponujemy dla tramwajowego SAM-u. 1 lutego przeniósł się on bowiem w krainę zmarłych eksperymentów.

Samoobsługa w tramwajach nie zdała egzaminu. Korzystający z „23" i „0" pasażerowie, podnieśli raban, autorzy pomysłu musieli odstąpić od jego realizacji.

Bilety książeczkowe, które tyle krwi napsuły łodzianom, przejdą do archiwum. Zostały z konieczności wymienione na poprzednio obowiązujące — kartonowe.

Bilety dawnego typu będziemy podawać konduktorom, nowego typu, zatrudnionym przez MPK na półetatach.

Jedną z przyczyn powołania do życia SAM-ów, była bowiem niedostateczna liczba konduktorów. Ponieważ jednak SAM się sam wykończył, postanowiono zatrudnić „półetatowo" — jako konduktorki, kilkadziesiąt kobiet.

Złośliwi twierdzą, że ostatecznym SAM-o-dobiciem był tajemniczy SAM, który sam bez motorniczego opuścił zajezdnię przy ul. Dąbrowskiego. W nocy z 14 na 15 stycznia b.r. wyjechał na miasto Łódź i zatrzymał się dopiero... na trawniku przy zbiegu Narutowicza i Kilińskiego. Tuż po tym fascynującym wydarzeniu, ukazały się w prasie wiadomości o likwidacji SAM-ów.

Jedna z nieoficjalnych wersji (za której prawdziwość nie odpowiadamy!) wyjaśniających zagadkę, powiada że pewien zagorzały przeciwnik SAM-ów postanowił sprowadzić samoobsługę ad absurdum ... aż do wykolejenia i zagrożenia publicznego bezpieczeństwa.

Aby uświadomić co może SAM sam...

Chcecie — to wierzcie, chcecie — nie wierzcie...

My, wzorem siedmiu greckich mędrców, polecamy zasadę: NIE PRZESADZAJ W NICZYM.

Mędrcy chcieli ją widzieć wyrytą na frontonie świątyni Apollina, my — wolelibyśmy oglądać skutki jej działania. W tramwajach...

BACZNOŚĆ! SAMODZIELNE MYŚLENIE

W jednej z łódzkich fabryk kierownictwo wpadło na genialny pomysł. Obliczając, iż w okresie epidemii grypy zapadanie robotników na tę chorobę przynieść może przedsiębiorstwu znaczne straty w postaci niespodziewanych postojów maszyn a tym samym i ograniczenia wzrostu produkcji — zakupiło pewne ilości proszków anty-grypowych i zaczęło ją wydawać ludziom w codziennych dawkach.

Załoga łykała tabletki i grypa omijała fabrykę. I pomyśleć, że dyrekcja nie otrzymała żadnych dyrektyw, okólników czy zaleceń w tej sprawie.

Czyżby naprawdę zbliżała się era samodzielnego myślenia?

TK „WIOSNA-62" i co dalej?

Już się zaczęło. Mimo, że do marca, tj. terminu otwarcia Krajowych Targów „Wiosna-62" jest jeszcze trochę czasu, energiczni propagandyści z MHW przystąpili już do akcji.

W jednym z centralnych dzienników przeczytaliśmy, czego na tych Targach nie będzie, m. in. jakie to cudeńka super-szałowe zaprezentuje nam nasz dzielny przemysł obuwniczy, który w olśniewaniu bywalców targowych ma już nie byle jaką wprawę.

Znamy, to dobrze znamy... Identycznie pisaliśmy jesienią, obiecując oblizującym się z zachwytu elegantkom wszystkie te modne pantofelki (o ściętych noskach, modnych słupkowych obcasikach itp.) już w I kwartale 1962 roku. Począwszy od stycznia br. obuwie według wzorów zaprezentowanych przez przemysł na Jesiennych Targach w Poznaniu miało być już w sklepach.

I co?. Koń by się uśmiał z owych obiecanek-cacanek. Nawet w pokazowym Łódzkim Domu Obuwia niczego z owych zapowiadanych szałowych modeli nie widać na półkach. Dlatego z chrzęstem złamaliśmy pióro, przyrzekłszy sobie, że już nigdy niczego na podstawie reklam handlowych obiecywać nie będziemy szarym klientom codziennych sklepów.

Mamy się potem wstydzić? Niech przemysł i handel piją sami piwo, jakie warzą spokojnie od lat!

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. A. Kobyliński

ŁATY NA KOMISJI

Po raz pierwszy chyba w historii łat, zajmuje się nimi specjalna, poważna Komisja. Rzecz jest bez precedensu, bo i łaty są bez precedensu.

Łaty przepuklinowe tj. protezy powięzi brzusznych, wykonuje się według pomysłu grupy inżynierów z Centralnego Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego w Łodzi — z tworzyw sztucznych.

Są już w Polsce i Łodzi ludzie którym zastosowano te łaty przy operacji przepukliny. Zastosowano, mimo że Komisja Ocen Artykułów Medycznych, działająca przy Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej, nie wypowiedziała się ostatecznie o przydatności ich stosowania. Dotychczas operacje traktowane są jako eksperymentalne. Ich pomyślne rezultaty nie przesądzają, według opinii specjalistów z Komisji, jeszcze sprawy. Chodzi o zdrowie i dobro człowieka, trzeba więc łaty wypróbować na wszystkie strony i maksymalnie ulepszyć. Tak więc łaty będą jeszcze „stawać" na Komisji. Wszystkie znaki na ziemi wskazują jednak, że już niebawem Komisja oceni je najprawdopodobniej jako przydatne dla lecznictwa ogólnego.

Na tę decyzję z niecierpliwością czeka wielu chorych na przepuklinę. W szególnie ciężkich przypadkach tego schorzenia, łaty przepuklinowe są warunkiem nieodzownym do przeprowadzenia operacji — jedynie przy ich użyciu można w ogóle o niej myśleć.

Twórca łat — CLPDz, do czasu ich ostatecznego zatwierdzenia, nie ma właściwie prawa zaopatrywać w nie — odpłatnie, klinik i szpitali. Może jedynie dostarczyć placówkom leczniczym minimalne ilości łat w ramach tzw. współpracy naukowo-badawczej.

Podobno „ramy" rozszerzają się coraz bardziej i jedynie przy dużej dozie dobrej woli, można je jeszcze określać mianem naukowo-badawczej współpracy, a nie praktyki leczniczej.

Chorzy przychodzą do CLPDz proszą... wysyła się więc — jeśli istnieje jakakolwiek możliwość wyprodukowania, łatę do danego szpitala.

Ale łata łatą, a plan — planem. Łat „nie zatwierdzonych" tzn. nie wstawia się do planu surowcowego, produkcyjnego itp. To oczywiście bardzo utrudnia sprawę.

Nadzieja, że wkrótce na Komisji łaty zostaną „wcielone" do służby zdrowia, pozwala jednak twórcom brnąć przez te trudności. Byle niedługo. Każde „brnięcie" jest nieprzyjemne, a to — trwa już blisko dwa lata...

PS. O innych opracowaniach łódzkich inżynierów nie piszemy, bo łodzianie wielokrotnie o nich słyszeli. A i nie — łodzianie, także. Sprawa była głośna, kulisy i trudności — w cieniu, Taka już widać prawidłowość.

CZYNSZE, REMONTY i DOZORCY

Jak się nam spisuje Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych w Łodzi? Rozmaicie. Najlepiej w dziedzinie czynszu komornianego. Wystarczy, że lokator spóźni się z opłaceniem czynszu o kilka dni, a upomnienie nadejdzie w terminie. Kwitując z zadowoleniem sprawę działalności na tym odcinku, płacić trzeba przecież regularnie, pragniemy zwrócić uwagę, że nie wszędzie MZBM jest taki chwacki.

W pierwszym półroczu 1961 r. Komitety Blokowe przy udziale administracji sprawdziły jakość dokonywanych remontów w 56.858 lokalach mieszkalnych i użytkowych. Wyszedł dość duży kłops. 7.397 lokali wyremontowano metodą „Pożal się Boże" i trzeba było „apiać" czyli od nowa zaczynać.

Według obliczeń mieliśmy 15. VIII. 61 r. — 120 wind w Łodzi, czynnych tylko — 68, z tego 49 w samym śródmieściu, co w praktyce oznacza, że centrum zapomina powoli, do czego służą windy. Brak odpowiednich materiałów, dlatego też pakujemy się piechotką na wysokie piętra i śpiewamy „nie ma sprzączki, nie ma pasa, diabli wzięli obertasa."

I wreszcie sprawa dozorców, bohaterów każdej szanującej się rubryki satyrycznej w gazecie. Mamy w mieście 7.814 nieruchomości, a dozorców na pełnym etacie tylko 2.121. Tego rodzaju sytuacja z pewnością trudna do rozwiązania, tłumaczy wypadki łamania nóg, pomyłki w adresie na skutek ciemności, zapewnia też Polikarpowi z naszego „Expressu" tematy na długie lata.

POMNIK czy BIBLIOTEKA?

Dzielnica Górna zorganizowała ostatnio Sejmik Kulturalny, poświecony również kulturze fizycznej. Wnioski z tego Sejmiku płynące nie napawają optymizmem: w Dzielnicy Górna, liczącej sto sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, nie ma teatrów, ani kin, sieć bibliotek jest o wiele za mała, księgozbiory pozbawione nowości, sale teatralne przy zakładach pracy służą jako magazyny (Zakł. im. Armii Ludowej) bądź hotele robotnicze („Cewka"). Na jedną bibliotekę przypada 19 tys mieszkańców — podczas gdy limit ogólnopolski wynosi 10 tys., obywatel dzielnicy Górna czeka na książkę trzy razy dłużej niż obywatel Szczecina itp. itd. W 5 szkołach nie ma sal gimnastycznych, spośród 90 nauczycieli wf tylko 3 posiada wyższe studia. W nowo budowanych osiedlach nie projektuje się punktów bibliotecznych, a odwrotnie, przy wyburzaniu — likwiduje się stare (biblioteka nr. 49).

Czy w tych warunkach należy myśleć o wybudowaniu w dzielnicy Górna... pomnika Władysława Reymonta? Owszem, pomnik piękna rzecz, i bardzo się przyda, ale czy nie lepiej z pomnikiem poczekać, a za te pieniądze utworzyć np parę nowych bibliotek? Bo czy pomnik sprawę załatwi? Nie, nie załatwi jej, podobnie jak sprawy braku sal i kwalifikowanych nauczycieli wf nie załatwi projekt, aby... powstało w Łodzi pismo sportowe, w rodzaju krakowskiego „Tempa".

Więc nawołujemy: problem upowszechnienia kultury w dzielnicach południowych miasta domaga się szybkich i energicznych inicjatyw. Władysław Reymont też będzie może bardziej niż z pomnika, zadowolony z nowej biblioteki, w której znajdzie się, na przykład, pełne wydanie Jego dzieł.